№ 2. Warszawa, dnia 31 Grudnia (12 Stycznia) 1877|8 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

KILKA SŁÓW

z powodu Wystawy pracy kobiet w Muzeum Przemysłowem Warszawskiem.

Nie wiem, kto pierwszy miał odwagę wypowiedzieć tę wielką prawdę, że nieomylnym miernikiem stopnia cywilizacyi każdego danego narodu, jest skala poważania jakiem naród ten otacza swe kobiety... Wiem tylko, że spostrzeżenie to stało się pewnego rodzaju bodźcem emulacyjnym dla ucywilizowanych społeczeństw, które wszystkie spieszą dziś złożyć dowody, nietylko swojego przed innemi pierwszeństwa ale i starszeństwa w tej cywilizacyjnej misyi.

Wprawdzie, w obyczajach i prawach najoświeceńszych nawet narodów, potykamy się co krok nieledwie o coś takiego, co nie jest bynajmniej zgodnem z zasadami takowej legitymacyi... a w życiu prywatnem zastanawia nas to dość osobliwe zjawisko, że chociaż każdy z mężczyzn pojedynczo wziętych, uważa sobie za piętno hańby przyznać się do nieposzanowania kobiety, mężczyźni wzięci zbiorowo mają niemal za punkt honoru dla siebie, lekceważyć płeć naszą w sposób wcale nie dwuznaczny. W każdym jednak razie zwrot, o którym uczyniłam wzmiankę, cieszyć nas powinien, jest on bowiem niezawodną zapowiedzią blizkiego porozumienia się w przyszłości.

Że nieporozumienie jakoweś istnieje, mamy tego objaw aż nadto jasny w usposobieniu samychże kobiet, które coraz to mniej okazują zadowolenia z oznak owego pseudo szacunku, polegającego na zabytkach dawnej szewaleryi, przeistoczonej obecnie w salonową etykietę, której wymaganiom gdy czynią zadość mężczyźni, są już z głębi serca przekonani, że wywiązali się, jak nie można lepiej, z wszelkiego rodzaju względem nas zobowiązań... Towarzyskich? być może; ludzkich? — bynajmniej. Ale ponieważ stosunek pomiędzy obu rodzajami tych zobowiązań dotychczas ściśle określonym nie został, na tem właśnie polega tajemnica owego *qui pro quo*, że chociaż niepodobna nam jest zaprzeczyć, aby mężczyźni nie mieli ze swego punktu widzenia do pewnego stopnia słuszności — rdzennie jednak rzeczy biorąc, słuszność jest *de facto* po stronie kobiet. Bo naprawdę, czyliż to mężczyźni szanując po swojemu kobietę, szanują ją samą. Nie, oni szanują w niej li tylko kobiecość, to jest jakąś abstrakcyjną ideę kobiecości. Tymczasem od chwili kiedy kobiety zaczęły coraz bardziej zastanawiać się nad sobą i coraz bardziej wnikać w głąb siebie, przyszły do przeświadczenia, iż kobiecość nietylko nie jest jakąś oderwaną ideą, lecz przeciwnie, najistotniejszą treścią ludzkości. W ślad za czem dziwić się zupełnie nie należy, jeśli myśląca nowożytna kobieta, czczona w duchu starożytnym jako kobieta-kwiat, lub kobieta-anioł, czuje się tym rodzajem czci obrażoną w swej dumie kobieco-człowieczej.

Przerzucając temi dniami Kłosy, znalazłam w Listach Włoskich przez W. K. pisanych z Rzymu w Styczniu i Lutym 1877 r. słów parę, które tak smutne wywarły na mnie wrażenie, iż niepodobna mi powstrzymać od użalenia się na nie. Były one zastosowane do wzmianki o pomniku baronowej Giordano, dłuta Brodzkiego i brzmi jak następuje: „Czem byłyby owe biedne kwiatki ludzkości, gdyby geniusz poezyi lub sztuki, przechodząc tym łez padołem, nie podnosił ich tam i sam przewieczniającą swoją dłonią zanim zwiędną na polne siano.“

Więc rzeczywiście, cała jedna połowa rodu ludzkiego, nie zasługuje na nic więcej, prócz na pogardliwe lekceważenie, z przymieszką w razach łaski, uczucia litości... stokroć dotkliwszego nad pierwsze. I czyliż długo jeszcze mierzoną tak będzie miarką siły pięści wartość istoty ludzkiej, podając w poniewierkę te, których dłoń miękka, choć pozornie słaba, jakże często dokonywać jest zdolną dzieł iście olbrzymich w zakresie działalności moralnej!

Społeczeństwo nasze nie jest ani gorszem ani lepszem od społeczeństw innych. I u nas mówi się dużo o wysokiem znaczeniu kobiety. Ludzie wiarogodni upewniają nawet, że niewiasty w dawnej Polsce nietylko zajmowały poczesne stanowisko w rodzinie, ale nadto wywierać miały wpływ przeważny i na sprawy publiczne, a stare to podobno jak świat mają być tego dzieje, bo aż w pomroce wieków aryjskich szukać nam każą ich wątku. Z tem wszystkiem skoro się nadarzy sposobność wcielenia w praktykę życia, owych tak pięknych i przykładnych zasad narodowej wiary, idzie jakoś kulawo, kulawiej niestety niż gdziekolwiek indziej. Co gorsza, przy wzrastających z dniem każdym z naszej strony pretensyach, bynajmniej nie chimerycznych, bo naglącą potrzebą ducha czasu i okoliczności wytworzonych, stałyśmy się tak dobrze jak solą w oku, do tego stopnia dolegliwą, że zaczęto nas na własnych naszych śmieciach traktować, nie jako krew z krwi i kość z kości rodzimych, ale formalnie niby jakieś nieprzyjacielskie obozowisko.

Niechęć ta nie uwydatnia się nigdzie tak wyraźnie, jak w nastroju całej prasy peryodycznej, nie szczędzącej przy każdej danej zręczności na rzecz naszą gorzkich sarkazmów i zjadliwych pocisków. Ostatniemi czasy doskonałej sposobności do wylania na papier żółci zaprawnej octem, dostarczyło Muzeum Przemysłowe Warszawskie, które znalazło się tyle względem nas wspaniałomyślnie, że dział osobny na Wystawę dla pracy kobiet przeznaczyło. Pobudzone do czujności pisma wszystkie, wystosowały wnet do pań naszych odezwy, zakrawające raczej na chłostę niż na zachętę, a że mam właśnie pod ręką parę okazów tej po części chybionej dzien-

nikarskiej dyplomacyi, sądzę, że mi Czytelniczki moje nie poczytają za zbytek gorliwości, gdy im przedłożę ten zbiorek w celu ugrupowania zeń pewnej systematycznej całości.

Najprzód tedy jedno z pism, poważne i niewzruszone jak posąg sprawiedliwości na którą pozuje, wystąpiło z apostrofą tego rodzaju. „W wystawie M. P. będą mogły wziąść udział i kobiety, a dziedzina ich pracy przedstawi się w ten sposób w pełnym obrazie oczom zwiedzających, śród których znajdzie się bardzo wielu takich, co czytywało niezawodnie szumne rozprawy o emancypacyi i równouprawnieniu stanowiska i pracy kobiet w społeczeństwie. Tymczasem na liczny współudział kobiet w Wystawie wcale się nie zanosi. Nie chcemy przypuszczać, aby lekceważenie i niedbalstwo były powodem tego smutnego objawu, któryby dowodził, że kobiety nasze tylko argumentami pragną walczyć o równość pracy i jej przywilejów w społeczeństwie, a które jak się to pokazać może na Wystawie rzeczonej, zbyt wcześnie w argumenta te uwierzyło i łudzić się niemi pozwalało.“ Czy tylko? Drugie odznaczające się wcale dobrem sercem, dając się też tym razem unieść gorączce antagonizmu—zawołało: „Heroizm pracy naszych niewiast okaże się wkrótce na wystawie. Zajmować ona powinna ogół stokroć więcej, aniżeli wszystkie doniesienia w świeżo kreowanym lekarzu-kobiecie, który chwalebnie ukończył kursa w Zurichu.“ Jak gdyby nauka lekarska nie była również przyczynkiem i to nader ważnym w zakresie pracy kobiecej. Inne jeszcze głośne z tego, że dla treści poświęcać zwykło formę... raczyło ubolewać w pełnych współczucia wyrazach nad losem losu wystawowego złożonego w ręce tej płci, której głowy promienieją nieporównanym wdziękiem wiecznej zieleni. No proszę, i cóżby przeciwko tyle wyszukanej elegancyi miał do zarzucenia rycerz średniowieczny.

Po upływie zaledwie kilku tygodni, na też same pisma przypadła kolej obwieszczenia wszem w obec i każdemu z osobna, że Wystawa pracy kobiet udała się nadspodziewanie świetnie. Posypały się niby z rogu obfitości, pochwały, nie bez zastrzeżenia co prawda. Zarzucono powszechnie brak praktycznego kierunku w zakresie pracy kobiecej. Zgoda. Ale czy dacie temu wiarę, że znaleźli się pomiędzy malkontentami i tacy, co mieli za złe wiejskim gosposiom, iż nie przysłały na pokaz, lubiącym łakocie Warszawiakom, święconego w komplecie, choć zkąd inąd obijało się już nieraz o uszy nasze to zdanie, że Wielkanocne przysmaki są rzeczą równie niestrawną dla kieszeni jak i dla żołądków. Lecz czyż podobna dogodzić wszystkim?

Nie przeczę, że brak praktycznego kierunku, zasługuje ze wszechmiar na naganę, uważam go jednak za objaw tak dalece prawidłowy, iż w żaden sposób zrozumieć nie mogę, dla czego pisma dziwią się mu tak bardzo? Niemniej też pomieścić mi się w głowie nie może, na mocy jakiego prawa społeczeństwo, które nie uczyniło nic zgoła w celu poparcia pracy kobiecej, domaga się tak absolutnie objawów widocznego postępu w tejże pracy? Dotychczas z czemże to, jeśli nie z opozycyą li tylko i to z opozycyą systematycznie przeprowadzoną, spotykać się musiały zacne usiłowania kobiet naszych? Gdzie zachęta, gdzie inicyatywa podniecająca szlachetne na tem polu dążności? Czy widzimy aby jedno stowarzyszenie, mające na celu wspólność porozumiewania się? Czy słyszał kto u nas, chocby o jednem, bogdaj najlichszem stypendyum, przeznaczonem dla biednej dziewczyny? Czemu po dziś dzień nie odczuto potrzeby urządzania koncertów, jakoteż składek na zapomogę dla niezamożnych uczennic. Czy rzucił kto kiedy myśl zorganizowania porządnej rzemieślniczej szkoły, gdyż do nazwy podobnej nie roszczą przecie pretensyi oba zakłady rękodzielnicze egzystujące w Warszawie. A chowaj Boże abym im miała czynić z tego względu zarzuty, bynajmniej, robią one i tak więcej niż mogą i należy im się niezaprzeczone uznanie, chcę tylko powiedzieć, iż nauka zbyt doryweczo, zbyt pobieżnie w nich wykładana, nie budzi zaufania w masach patrzących i tak niemal ze wstrętem na wszelkiego rodzaju nowatorstwo. *(d. n.)*

DAREMNE ŻYCZENIE.

(przypisane pani K.)

Ej! smutno mi, smutno — okryty żałobą
Niebawem to życie obrzydzę;
Ruiny, mogiły rzuciłem za sobą,
Przed sobą nic a nic nie widzę.
Ni ciebie ni twoich, mój biedny aniele,
Nie spotkać na żywych cmentarzu;
Krzyż runął na świętem uczucia kościele,
Cyboryum rozbite w ołtarzu,
I dzwony umilkły na owej wieżycy,
Na którąśmy z tobą chadzali,
I wody święconej zabrakło w chrzcielnicy,
Gdzie ludzie brud serca zmywali.
Ej! smutno i pusto wśród stepu bez granic,
Ni drogi, ni celu nie zoczę,
A chmury na niebie, jak zgraja szatanic,
Rzuciły pod wicher warkocze.
I pędzą szalone z błyskawic pochodnią,
I gromów chorałem myśl głuszą...
Więc życie już tylko jest grzechem i zbrodnią?...
Więc trzeba się rozstać z swą duszą?...
Znicestwić... lub gorzej—zbydlęcić się pora,
I usnąć u żłobu nad strawą,
By marzyć rozkosznie na brzegach jeziora
Pokrytych zieloną murawą?
Ej! nigdy, przenigdy!... Mnie wzrok twój ustrzeże
Od ciemnej przepaści rozdołów,
Ustrzegą drgające na ustach pacierze,
Wyjęte skry życia z popiołów;
Mnie zbudzi twój widok i z łoża boleści,
Gdy staniesz u mego wezgłowia,
Z kamienia mię nawet na człeka wypieści
Do pracy, do siły, do zdrowia.
Bo myśl twa mi była i chrzestną osłoną
I będzie mym w końcu całunem,
Na krzyżu mogilnym cierniową koroną,
W dzień sądu wskrzeszenia piorunem.
Niech pędzi lat fala i ginie w nicości,
Mnie burze i skały nie tworzą,
Ty świecisz mej łodzi promieniem miłości,
Poranną bezchmurnych dni zorzą.
A jednak mi smutno i chłodno jak w grobie,
Wspomnienie li cieszy i boli,
O! chciałbym na chwilę zapomnieć o sobie,
O tobie, o mojej niedoli.

J. L.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Tom drugi.

Rodzina Mikłockich.

Rozdział X.

Pani Mikłocka z dwiema córkami Klarką i Franią, mieściła się w małem mieszkanku na Pradze, którego okna tak starannie zasłonięte firankami zwróciły uwagę znanego nam już Franka Skowrona. Matka wychowana na wsi w domu wuja, nie tyle bogatego jak żyjącego ze wszystkiemi pozorami państwa, jako biedna sierota, wieczne popychadło wszystkich, co tylko posługi od niej wymagali, przyzwyczaiła się od najmłodszego wieku do tak potulnej uległości, że nawet nie przypuszczała aby w czemkolwiek mogła mieć własne zdanie. Wuj był jej ideałem, pamięć dostatku jakim się u niego cieszyła, krajem zaczarowanym w którym jej myśli i wspomnienia jedynie krążyły. Wyszedłszy za mąż za urzędnika z poblizkiego miasta, uległość tę potulną wiernie zachowała i słowo męża było dla niej przykazem ewangelicznym, któremu sprzeciwienie się uważałaby za bluźnierstwo. Na nieszczęście zmarły Mikłocki choć utrzymujący się ze służby rządowej, nie mógł także zapomnieć, że z herbowej równie pochodził szlachty i że przodkowie jego niegdyś ważne w kraju piastowali dygnitarstwa. Był to człowiek z dostatecznem wykształceniem na zdolnego urzędnika, z uczciwością niczem nieposzlakowaną, wszelkie wziątki nieprawe uznający za ubliżające swojej godności, lubiący jednak błyszczeć państwem, do czego brakło mu najważniejszej rzeczy... pieniędzy. Ożenił się z panną ubogą, bo go ród świetny i skromność z wdziękiem młodości połączone pociągnąwszy tym więcej przywiązały, że wola jego stała się od pierwszej chwili wolą jego żony.

Jakie było pożycie małżonków łatwo się domyśleć; mąż pan w domu, żona jego sługa. Pracowała, nadskakiwała i starała się wszystko tak robić, aby tylko mąż był zadowolony. Chwaliła go że jest delikatny i rozumny, a mąż wysławiał żonę że jest najlepszą w świecie kobietą. Żyli zgodnie i bogobojnie, stawiano ich za przykład drugim, i wiele razy mówiono o złych stadłach małżeńskich, tyle razy zmarły Mikłocki zadzierał nosa do góry, a pani Mikłocka spuszczała oczy ku ziemi. A jednak pomimo zgodnego, cichego i przykładnego życia małżonków, stadło to było złe, i nietylko nic dobrego nie zrobiło, ale przeciwnie, nabroiło wiele złego. Przede wszystkiem przekonani o lepszym gatunku gliny z jakiej ulepieni zostali, żyli nad stan, aby nie ubliżyć pod żadnym względem rodowej swej dumie. Łatano się, zapożyczano, popełniano tysiące śmiesznostek, jedynie dla utrzymania pozoru. W śpiżarni nie było żadnych zapasów, w komodach brakowało najniezbędniejszej bielizny, sama pani Mikłocka chodziła w domu w sukni przez starość i zużycie niewiadomej barwy i gatunku, panny dziury w podeszwach zasłaniały zwitami grubego papieru, ojciec wytarte brzegi codziennego ubrania czernił nieznacznie atramentem, ale kto tylko ze wsi przyjechał do miasta, zajeżdżał do ich mieszkania jak do hotelu, a gdy przyszły imieniny pana, bal musiał być wydany z przepychem o ile można największym, z tortami, starym węgrem, muzyką taneczną i lokajami, na który i ze wsi i z miasta licznie pospieszano. Po każdej podobnej uroczystości, długo szemrano w mieście i na wsi, wyszydzając cichaczem wszystkie niedostatki przyjęcia; później przez pół roku prawie zmarły Mikłocki kwasił się, krzywił i cichaczem wypłacał za wzięte w kredycie trunki; pannom i żonie odmawiał pieniędzy na najniezbędniejsze ich potrzeby, a najbliżsi przyjaciele nie mogli się wydziwić, jak człowiek tak rozumny jak Mikłocki mógł się corocznie dla jednego balu rujnować, i zamiast robić oszczędności siedzieć w długach po uszy.

Wszystko to ś. p. Mikłocki znał doskonale, często gniewał się na ludzi a czasem na siebie, przyrzekał odsunięcie się od świata, być rachunkowym, oszczędnym, zabezpieczającym przyszłość żony i dzieci..

i znowu bal wydawał jak rok przeszedł, dziury finansowe połatały się i szemrania obmowne przycichły. Dopóki wuj żył było pół biedy, pamiętał przynajmniej o śpiżarni, poratował zwierzyną a często i całym wieprzkiem; ze śmiercią jego połączoną z zupełną ruiną majątkową, państwu Mikłockim szło coraz gorzej, długi zwiększały się, kredyt upadał, procenta rosły, porządki domowe fantowano lub przedawano i wreszcie przyszło do tego, że często gęsto panienkom brakło sukienki, a matce pończoch a nawet trzewików.

Cichaczem zatem w największej tajemnicy, panny zabrały się do różnych robót ręcznych, przez faktora sprzedawały je także w największym sekrecie, gdyż czuły, że gdyby ojciec dowiedział się że pracą własną zarabiają na niezbędne swe potrzeby, padłby trupem w jednej chwili lub dostał obłędu z przerażenia. Jak też umarł oprócz długów nic nie pozostawił i pani Mikłocka znalazła się nagle jak nadwiślak powodzią bez wyjścia zalany.

Gdyby była samą jakby sobie radziła niewiadomo, bo nienależała wcale do ludzi trudzących się zbytecznie myśleniem, ale na szczęście miała dwie córki już dorosłe Klarkę i Franię oddawna już przywykłe rządzić matką jak wiatr chorągiewką. One więc naradziwszy się i uznawszy, że z małej emeryturki jaką matce przyznano wyżyć trojgu niepodobna, że zarobek z szycia jest mały i niepewny, i że ten jedynie z wielkim wysiłkiem może dać nader skromne utrzymanie, postanowiły koniecznie wydać się za mąż, naturalnie za urzędników, bo nawet nie przypuszczały aby do panien tak wysoko urodzonych, mógł wyciągnąć rękę rzemieślnik zakopcony warsztatową pracą lub kupiec wiecznie z łokciem lub miarą mający do czynienia. W mieście którem mieszkały kandydatów urzędników do małżeńskiego stanu było niewiele, wreszcie zanadto znane były i opatrzone, aby mogły liczyć na pewne powodzenie; przeniosły się więc do Warszawy, jako głównego rojowiska urzędniczego stanu nie wątpiąc, iż przy zawiązaniu licznych stosunków, do czego szczególny posiadały talent, wynajdą odpowiednich ochotników. Wiedząc zaś jak posag ważnym jest czynnikiem, brak jego istotny postanowiły zastąpić pozorem jeżeli nie posiadania leżącego kapitału, to znacznych dochodów niby z pracy własnej otrzymywanych. Bywających więc, o których przy dawniejszych znajomościach bardzo prędko wystarano się, karmiono na wieczornych przyjęciach z tak zajadłą gościnnością, że nikt nie mógł wątpić aby pannom Mikłockim źle się działo, i żeby staranność ich w prowadzeniu szwalni nie była godną jak największego podziwu. Był to jednak wysiłek prawdziwie bohaterski; przez dzień cały obchodzono się byle czem, herbatą dwa i trzy razy wygotowaną, zupą z chleba lub kaszki na kościach, ziemniakami, śledziem i innemi równie taniemi artykułami żywności, ale za to wieczorem rozwijała się obfitość z której najprzód goście a później domownicy po ich odejściu korzystali, jeżeli ci byli tyle wstrzemięźliwi, że coś przecie dla gospodyni zostawili. Na zaspakajanie tych nadzwyczajnych wydatków obracano resztki zabytków dawniejszych, i kilka tysięcy złotych złożonych składkowym sposobem przez rodzinę samej pani Mikłockiej na rozwinięcie pracy jakiej się poświęciła, ale to naturalnie na długo wystarczyć nie mogło i przewidywano chwilę, w której wszystko zjedzone zostanie do ostatniego kęsa. W tym to czasie z rodziną Mikłockich, zaraz po jej osiedleniu w Warszawie, zapoznał się Stanisław; opowiadania zatem o gościnności, o sutym gości poczęstunku, a nawet o pożyczce kilkunastu rubli i zmianie listu zastawnego były prawdziwe, gdyż go tym sposobem jako bywającego częściej chciano przynęcić. Ale wyrachowanie chybiło, spryt panien uległ pod działaniem więcej przewidującego sprytu Stanisława, który w prędce przewąchał, że w całej tej gościnności jest więcej pozoru dobrego bytu jak rzeczywistości. Wycofał się też zręcznie, pozostał przyjacielem jak dawniej ale ostrożniejszym, żeby, jak powiadał, nie dać się załapać.

Z pomiędzy bywających u państwa Mikłockich, którzy przemijali jak krajobrazy w ruchomej panoramie, znajdowało się dwóch, najwięcej widoków przedstawiających do małżeńskiego stanu. Pan Anzelm i Bonawentura, koledzy jeszcze ojca, należeli do starych podżyłych kawalerów, którym nadskoki i przymilania panien Mikłockich bardzo się podobały. Pan Anzelm cichy jak baranek, pomimo rudej peruki nader poważny, podobny był do wypłowiałego dywana ze śladami dawnej świetności. Pan Bonawentura z wąsami śpiczastemi i zawsze na czarno uszwarcowanemi, miał żywość i fertyczność młodzieńczą kraszonych naprzemian śmiechem i przybieraniem nagłej powagi na wzór swego przyjaciela Anzelma. Pomimo ich wieku dość podeszłego, panienki obydwóm pochlebiały niezmiernie; obdarzani temi dowodami życzliwości, nadskoki młodych dziewcząt, uśmiechy ich i spojrzenia chwytali w lot i jeden chrząkając poprawiał zaraz perukę a drugi pokręcał wąsa i śmiał się na całe gardło. Pomimo jednak tego roztkliwiania się ich serc staro kawalerskich, kiedy sądzono że już struna pęknie i nastąpią bliższe wynurzania się, złapani w sidła zalotności, nagle milkli, potem po każdym podobnym wybryku nie zjawiali się u pani Mikłockiej przez długi czas. Bywali jednak przez pamięć przyjaźni dla ojca, ale panny pewne siebie nazywając ich upartemi kozłami, chociaż zdawało się że wyczerpały wszystkie środki zmuszenia ich do stanowczego kroku, nie traciły jednak nadziei, że przyjdzie chwila zwycięztwa.

Kiedy się sprowadziły do Warszawy, w kamienicy w której zajęły mieszkanie, mieszkał pan Antoni oficyalista z jednej z fabryk warszawskich, człowiek młody lat trzydzieści kilka mieć mogący, sztywny, nieśmiały, milczący, przy stole kantorowym jak w swoim żywiole, po za nim niewiedzący jak się obrócić, jak przemówić i zawsze w towarzystwie szukający kąta jak najodleglejszego, aby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Dobrego wzrostu, o grubych rysach twarzy troszkę ospowatej, nazywany powszechnie dziwakiem albo niezgrabiaszem, pomimo tak niepozornej powierzchowności, miał duszę niezmiernie wrażliwą, łaknącą serca i czarów miłości. Na kobiety młode i powabne spoglądał jak na istoty którym klamerki u obuwia nie godzien był zapiąć; na małżeństwo jak na świętość, a na dzieci z taką chciwością jakby je chciał łykać jak pigułki. Do ziszczenia zatem marzeń o małżeńskiej szczęśliwości posiadał wszystkie warunki, brakło mu jednak jednego, najważniejszego... odwagi do wynurzenia uczuć tej, którąby serce wybrało. Mieszkając na trzeciem piętrze zajmował mały pokoik, sam sobie usługiwał, sam codziennie czerpał wodę ze studni, znosił zlewki i śmiecie, sprowadzał drzewo i uważany był przez wszystkich za sknerę i [illegible]. I [illegible] zastanawiano się, że fundusze [illegible] były bardzo szczupłe, że robił to z istotnej potrzeby i że skutkiem tego rozumnego postępowania w opłacie komornego nigdy nie zalegał i nikt nie narzekał na niewypłacalność przypadającej mu należytości. Powiadano, że sam zajmuje się praniem, łataniem, cerowaniem, nawet naprawką butów, ośmieszano go w cichości i wyszydzano, ale panny Mikłockie nie zważały na to i postanowiły koniecznie bliżej się z nim zapoznać.

— Brzydki to prawda, mówiły do siebie, ale urzędnik, choć nie w rządowej służbie tylko prywatnej, zawsze jednak pensyonowany stale nie jak rzemieślnik szukający dziennego zarobku.

Oszczędny, więc zbiera pieniądze, pracowity więc ma widoki lepszego bytu, nieśmiały, to da się ośmielić.

Ostatnie to zadanie postanowiono spełnić natychmiast.

Antoni wychodząc na miasto musiał przechodzić około mieszkania Mikłockich. Kiedy z początkiem wiosny okna otworzono, panienki siedziały tuż przy nich zajęte robotą. Antoni nagle znalazłszy się tak blizko przy pannach na które już dawno zwrócił uwagę, spojrzał, zarumienił się i mimowoli ukłonił zdejmując kapelusz. Pierwsze lody zostały przełamane; od powitań przyszło do rozmowy w początkach chwilowej, urywanej, później do dłuższej w której dostrzegł że Frania ma niebieskie oczy i że niemi spogląda niezmiernie czule. Było to pierwsze zbliżenie się do kobiet i pierwsza serdeczność jakiej od ludzi doświadczył, nic też dziwnego że podwójnym pociągnięty urokiem, przylgnął do rodziny nowo poznanej całą duszą, pragnął jej towarzystwa, szukał go a nawet tęsknił, gdy w powrocie z fabryki zastał okna sąsiadek zamknięte. Zmęczony nudą chodził wówczas po pokoju, roboty przerzucał, przemieniał, spoglądał ku oknu czy czasem panny nie wróciły, a na drugi dzień przy powitaniu rannem stawał się rozmowniejszym, śmielszym, a nawet raz wyciągniętą do siebie rękę Frani ucałował z tak wielkim zapałem, że przestraszony uciekł jak zlany niespodzianie ukropem.

Po tym pamiętnym wypadku, ani śmiejąc pannom spojrzeć w oczy na drugi dzień idąc do swego zajęcia, przemknął się drugą stroną podwórza i kiedy uradowany z wykrętu dochodził do bramy, Frania wychyliła się z okna.

— A czy to się godzi panie Antoni, rzekła, tak o swych sąsiadkach zapominać i nie powiedzieć zwykłego dzień dobry?

— Jabym miał zapominać... ja... bąkał Antoni.

— To prosimy powitać nas zwykłym sposobem.

Antoni wrócił się, panny wyciągnęły do niego ręce, a Frania patrząc mu w oczy rzekła z figlarnym uśmiechem.

— Nieoszacowany jesteś panie Antoni, taki grzeczny, taki uprzejmy. Za przyjaźń twoją jestem ci wdzięczną, bardzo wdzięczną... Antoni odurzony, drażniony uściskiem ręki czego nigdy nie doświadczał, stał i milczał, i przewracając kapelusz dyszał całą piersią czując że mu tchu brakuje.

— Pani taka dobra, panno Franciszko, odezwał się wreszcie spuszczając oczy, taka łaskawa...

— Jeżeli jestem taką, przerwała Frania, to musisz pan dziś przyjść do nas na herbatę wieczorem...

Antoni osłupiał, chciał uciec, ale Frania ręki nie puszczała, ściskała, potrząsała pytając się uporczywie czy przyjmie zaprosiny.

— Jakże, przyjdziesz panie Antoni?

— Przyjdę... tylko...

— Czy słowo?

— Słowo panno Franciszko... tylko..

— Żadnych warunków, odezwały się obie panny.

W biórze pan Antoni był roztargniony, ciągle myślał jak wybrnie z przyjętego obowiązku: cieszył się i przerażał zarazem, lękał się swej nieśmiałości a radował zbliżeniem do panny co ślicznemi oczami tak powabnie na niego spogląda. Wreszcie zbliżył się wieczór, Antoni nim ośmielił się przestąpić próg mieszkania, zatrzymał się pod drzwiami i ciężko odetchnął. Panny wypatrzyły go, i roztworzywszy drzwi nagle wprowadziły do środka.

— Bardzo dziękujemy za zaszczyt, odezwała się matka z przesadnem krygowaniem i nagle urwała,

bo Klarka rej w domu wiodąca spojrzała na nią ze znaczeniem. Ustroiła więc usta wdzięcznym uśmiechem i wyprostowała się jak niegdyś, gdy wuj przestrzegał aby się nie mieszała do poważnej rozmowy.

— Chciałem, mruknął Antoni, to jest... pragnąłem... prawdziwie... Klarka przyszła w pomoc, zawiązała się zaraz rozmowa, panny zapytywały i odpowiadały same, gdy jedna skończyła, zaraz zaczynała druga, gdy jeden przedmiot wyczerpał się zaraz drugi podejmowały i z równą łatwością mówiły o dawnym lepszym bycie jak i kanarku śpiewającym w klatce jak opętany. Antoni na wszystko odpowiadał potakiwaniem, matka wtórowała krygowaniem się i uśmiechem, ale gadano ciągle i Antoni dowiedział się, że panny tak jak on same sobie wystarczają we wszystkiem obchodząc się bez sługi, praczki, krawca a często i szewca. Antoni został zachwycony, oczarowany, zdawało mu się, że to jego usta tak były czynne nie mogąc zrozumieć jakim sposobem tak się rozgadały. Znajomość zatem została zawiązaną, Antoni coraz częściej nawiedzając sąsiadki stał się wreszcie prawie codziennym gościem, ale o miłości i małżeństwie nie robił najmniejszej wzmianki. Nowem przejęty uczuciem cieszył się niem jak drogocennym skarbem bojąc się go utracić: panny zaś już prawie pewne zdobyczy, nie chciały się wiązać przyrzeczeniem rachując zawsze na jednego z owych starych kawalerów, których koperczaki od czasu do czasu ciągle się ponawiały. Miłość nie wchodziła tu w rachunek tylko stanowisko kandydata do małżeńskiego związku. Każdy był dobry mogący się żenić a ten lepszy co większe i pewniejsze posiadał dochody, któryby jako mąż rozciągnąwszy nad niemi opiekę, uwolnił od troski starania się codziennego zaspakajania niezbędnych potrzeb. A były one coraz dokuczliwsze, coraz groźniejsze w swych objawach: zasiłek pieniężny od rodziny otrzymany wyczerpywał się, garderoba zużywała, zarobek z szycia nie zwiększał, a apetyt bywających gości, których starano się mieć zawsze jak najwięcej nie tylko nic nie tracił na swojej mocy, ale zdawał się nawet podwajać gdyż coraz żądniejsi pokarmu powiększali ich zastępy. Zadłużono się przytem w opłacie komornego, u szewca i w sklepiku wiktuałów, ruina ostateczna była pewną i byłaby spadła jak lawina na zbłąkanego wędrowca, gdyby nie nowa pomoc rodzinnej szczodrobliwości.

Panny odetchnęły, pozór został uratowany, ostateczne postanowienie co do Antoniego wstrzymano; bo Frania nawet nie zastanawiała się nad stanem swego serca, gdyby wybór jej padł na niego. Ideałem dla niej miłosnym był chleb bez troski, małżeństwo środkiem do jego otrzymania a wrodzona konieczność podobania się zabiegiem w dojściu do tego celu. Wiedziała że Antoni ją ukochał, że gotów połączyć się z nią w każdej chwili węzłem małżeńskiej przysięgi, jak tylko ośmieli go do stanowczego kroku, ale i to wiedziała, że ma zaledwie parę tysięcy rocznej pensyi i małe widoki jej powiększenia. Tak szczupły dochód przestraszał ją, wahała się, namyślała, wolałaby naturalnie pana Anzelma lub Bonawenturę, zwłaszcza że panowie ci choć rzadko bywali, ale nie byli tak żarłocznymi gośćmi jak inni i pan Bonawentura ze śmiechem, mową i żartami zawsze zwracając się ku niej, utrzymywał mimowolną nadzieję, że się kiedyś wreszcie namyśli i wyciągnie rękę po serce które tak tego zapalczywie pragnęło.

Opłaciwszy pozaciągane długi, poprawiwszy cokolwiek stan swojej garderoby, panienki pod pozorem lepszego powietrza dla kaszlącej matki do wsi przyzwyczajonej, a właściwie dla większej oszczędności z czem się jednak starannie taiły, postanowiły przenieść się na Pragę. Tak oddalone mieszkanie od warszawskiego ruchu cokolwiek je niepokoiło: tu już miały stosunki, znajomości, Antoni był pewny, podżyli kawalerowie zahaczeni, lękały się więc czy ta trójka zdobyta z takim mozołem nie opuści, czy przy rzadszem widywaniu, nie oziębnie w swych uczuciach, nie zapomni i nie porzuci zupełnie.

W przed dzień przeprowadzin, gdy już rzeczy w większej części były zapakowane, niektórzy znajomi nawiedzili panią Mikłocką z pożegnaniem. Pomimo już nieuchronnego rozstania, wesołość towarzystwa nie opuszczała a szczególniej obie panny, odbierając tak dotykalne dowody życzliwości, w wybornym były humorze. Śmiano się, żartowano, pan Anzelm tak się rozbrykał że aż mu się peruka przekręciła i zapomniał jej poprawić: pan Bonawentura dowcipkował zadzierając wąsów coraz częściej i ostrzej, a nawet Stanisław śmiejąc się rozprawiał tak głośno że go słychać było w całem podwórzu. Jeden tylko Antoni siedział samotnie przy piecu, i nie mieszał się do ogólnej rozmowy. Zadumany z podpartą głową na ręku, myślał biedak co teraz robić będzie wieczorami, gdy panny Mikłockie przestaną być jego sąsiadkami? Gdzie znajdzie świat, o jakim marzyć nawet nie ośmielił się a który znalazł w pośród rodziny darzącej go tak szczodrze wszystkiemi ponętami serdecznego związku? Któż go teraz oceni jak zasługuje, kto z równą życzliwością patrzeć będzie na niepozorną jego postać, gdzie znajdzie zachętę i pokrzepienie, wymianę myśli i rozmowę tak miłą jak z pannami Mikłockiemi?

Smutny i wzdychający tarł czoło i pierwszy raz może w życiu gniewał się na rozmawiających. Frania dojrzawszy to, starała się minkę swą odpowiednio nastroić, ale wyborny humor pana Bonawentury stawał temu na przeszkodzie. Zwrócona plecami do Antoniego, twarz miliła uśmiechem śląc zalotne spojrzenia ku podtatusiałemu adonisowi; stojąc zaś wprost Antoniego lica natychmiast okrywała kirem niepokonanego smutku. Było to kłamstwo, nikczemne wyzyskiwanie najszlachetniejszych uczuć, ale strach pewnej nędzy ma swoje prawa. O zapobieżeniu jej innym mniej wybrednym sposobem jak przez małżeństwo, panny Mikłockie nawet nie pomyślały. Duma rodowa postawiła je nad przepaścią ale i broniła od wpadnięcia w nią bez powstania.

Pomimo jednak tych manewrów Frani, zasmucony Antoni nie rozczmychał się ani odrobiny, a nawet nie chciał zbliżyć się do stołu choć herbata była gotową. Frania więc musiała mu usłużyć i przynosząc szklankę rzekła cichaczem:

— Ach! mój panie Antoni, żebyś wiedział jak mi smutno, to sobie miejsca znaleźć nie mogę.

— I mnie także.... odrzekł Antoni i spojrzał w oczy Frani.

— Panu smutno, a to dlaczego?

— Bo... bo... panno Franciszko, nie mogę pojąć co się ze mną stało. Dawniej najlepiej lubiłem własny kącik, dziś zdaje mi się że wasz pokoik to raj prawdziwy. Dawniej byłem milczący... dziś stałem się gadułą. Dawniej nie śmiałem spojrzeć w oczy... kobiecie... dziś panno Franciszko szukam twego spojrzenia, a gdy je znajdę ku sobie zwrócone, cały dzień już myślę o niem... marzę we śnie i zdaje mi się przy pracy w biórze, że z pod pióra wychodzą nie litery i liczby, ale... te oczy ukochane, których urok gnie mnie ku twojem nogom panno Franciszko...

— Och! panie Antoni, odezwała się Frania mimowoli ujęta prostotą słów taką szczerością nacechowanych; czyż godną jestem...

— Chciałaś zapewne pani powiedzieć, przerwał Antoni, czy godny jestem... ja... taki chudeusz niepozorny... Ta niepewność bardzo mnie niepokoi... chciałem wygadać wszystko... nie mogłem... chciałem napisać, nie umiałem, a jeżeli dziś mówię, to dlatego... że w głowie mojej wszystko się zbuntowało... wre... kipi... i tylko myśl że cię panno Franciszko tracę....

— Jakto tracę? Przecieć Praga nie tak daleko od Warszawy.

— To prawda, szepnął Antoni, ale panno Franciszko... pani będzie daleko i może nie przypomni sobie że Antoni żyje na świecie...

— Jakże można tak mówić, przerwała Frania ze szczerem uczuciem jakby wymówki.

— Och! panno Franciszko jakżeś dobrą, czyż mogłem się tego spodziewać? Czyby więc... Antoni nagle umilkł i zarumienił się z uszami.

— Cóż czyby? Kończ panie Antoni, bo do gości iść muszę.

Antoni spoglądał na Franię, to spuszczał oczy, tulił rękę Frani do ust ale nic nie odpowiedział.

— No, powiedz panie Antoni, jak brat siostrze. Jakżebym pragnęła mieć takiego brata...

— A... a męża? zapytał Antoni zaledwie dosłyszanym szeptem.

Frania ścisnęła mu rękę, westchnęła i równie cicho dodała:

— Dla czegożby nie...

Antoni wytrzeszczył oczy, chciał krzyknąć, paść na kolana, ale Frania położyła palec na ustach mówiąc:

— Tajemnica panie Antoni! Po co ludzie mają wiedzieć o naszem szczęściu.

— To prawda, szepnął Antoni i już przez cały wieczór z Frani nie spuścił spojrzenia.

Kiedy wieczorem panny pozostały same i Frania udzieliła wiadomość o rozmowie z Antonim, Klarka stanowiąca niejako głowę domu, podumawszy chwilkę rzekła.

— Antoni podobny do kloca nieociosanego, ale poczciwy człowiek. Pensya co prawda niewielka, ale nie taki żarłok jak ten Stanisław, który mówi za dwóch a za czterech zjada.

— U mego wuja, odezwała się matka, bywał pan Wojciech, co po wódce zjadał bochen chleba z masłem na przekąskę.

Na to wyrwanie się matki jak Filipa z konopi panny nie zwróciły nawet uwagi. Przyzwyczajone do niego starały się tylko trzymać je na wodzy podczas przyjęć częstych swoich gości, gdy same były w domu pomijały je jak miauczenie kota faworyta, na które się nie zważa.

Przy gościach były baczniejsze i starały się bądź co bądź nie dopuścić matki do słowa. Niezawsze się to jednak udawało; pani Mikłocka posiadała malutką ale bardzo niewygodną wadę, nieumiejętności myślenia. Wychowana automatycznie w domu wuja, przyzwyczajona do cudzej woli a nigdy do własnej, władzę myślenia z natury już bardzo słabą, pomału umorzyła zupełnie i przyszła do tej doskonałości, że w każdem zajęciu była tylko maszyną spełniającą myśl kierującej nią głowy. Żeby jednak sama pokazała że ma także głowę, na to nawet odważyć się nie umiała. Kręcąc się cały dzień po domu, zdolna całą nawet noc przekręcić się lub przesiedzieć z igłą w ręku gdy robotę miała sobie wyznaczoną, skazana na bezczynność, usypiała natychmiast, szczególniej w kościele a nawet w pośród najliczniejszego towarzystwa. Znając to do siebie, a nie chcąc się kompromitować, starała się ile możności wtrącać do rozmowy, ale nie umiejąc objąć jej głównej treści, chwytała tylko ostatnie wyrazy rozmowy zatrzymane w pamięci i uczepiając się ich uporczywie, występowała z uwagą, co Stanisław nazwał zbaczaniem do lasa, gdy się inni Sasa trzyma-

li. Jakie z tego wynikały dziwolągi łatwo się domyśleć, zwłaszcza że wuj, jego znajomi i różne zdarzenia domowe z czasów panieńskich, były jedynym materyałem z którego lepiła uwagi mające dowodzić że rozmowy słucha, przyjmuje ją i jako gospodyni ma prawo wetknąć do niej swoje trzy grosze.

Panny więc nie zważając na słowa matki rozmawiały dalej:

Musi być koło Stanisława strasznie kuso, odezwała się Frania, bo rzeczywiście przychodzi do nas taki wygłodzony jak chart po polowaniu.

— Ojciec wasz miał wyżła, wtrąciła matka krzątając się około łóżek, co charty wyprowadzał w pole i płoszył zające. Ach! jaki to był szkodnik to strach!

— To też Stanisław, odrzekła Klarka na uwagę Frani, radabym aby się zupełnie od nas odczepił.

— Żebyś wiedziała moja droga, z jakiem ten poczciwy Antoni mówił do mnie uczuciem...

— Czyś się w nim zakochała? opryskliwie zapytała Klarka.

— Nie wiem, ale kiedy się wynurzył z wielką nieśmiałością jak mnie kocha, uczułam dziwną zmianę w sobie. Potem kiedy skończył i spojrzał na mnie, zdawało mi się że wypiękniał i teraz myślę o nim z pewną przyjemnością i zdaje mi się że mam go ciągle przy sobie. Jeżeli to jest miłość...

— Och! ty romansowa dziewczyno, przerwała Klarka. Czyż my takie biedne możemy myśleć o wyborze z miłości? Strach pomyśleć cośmy już przeszły i co nas czeka jeszcze. Znosić tyle co my, mówiła dalej drżącym od wewnętrznego wzruszenia głosem, znosić tyle brutalstwa, tyle biedy a nawet nędzy z braku jedynie tego nieszczęśliwego grosza... to rozpacz moja droga. Antoniego dochody są tak małe, że kłopoty przy nich tylko się zmniejszą a nie usuną i to tylko do czasu dopóki was będzie dwoje a nie troje lub pięcioro. Gdy to nastąpi, bieda się dawna powróci, tylko zgryźliwsza, dokuczliwsza, bo nie przez ciebie samą znoszona...

— Prawda, prawda moja Klarciu, ach! dlaczegóż my tak nieszczęśliwe...

— Cicho, uspokój się, tu nie płakać ale radzić trzeba. Dobiliśmy do dnia dzisiejszego, to jakoś pójdzie się dalej. Gdyby nie matka poszłybyśmy w służbę za panny dworskie, ale bez nas czyżby biedna nasza matka dała sobie radę. Antoni niech zatem zostanie, tylko pamiętaj żebyś mi się w nim nie zakochała i że pan Bonawentura ma sześć tysięcy pensyi i wkrótce czeka go awans. Ja muszę lepiej zająć się panem Anzelmem, to dobroduszny człowiek i już wynalazłam na niego ostateczny środek. Ach! cóż to za rozkosz, być pewną że co pierwszy odbierze się kilkaset złotych do własnego rozporządzenia...

— U mego wuja, odezwała się matka, kupcy tak za wełnę, jak zboże lub okowitę, musieli zawsze płacić samem *śrybłem*.

— Ale nie mówi się mamo *śrybło* tylko srebro, poprawiła Klarka. Matka kiwnęła głową, Klarka z Franią uściskały się krzepiąc wzajemnie nadzieją, a matka układając się do nocnego spoczynku, marzyła o stosach *śrybła* płaconych wujowi za przedane produkta.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Spekulacyjny duch Yankesów zaostrzył wszystkie uszy na bardzo bystre, i przyznam, że praktyczne uwagi pana Jonasza. Zaczynało wyglądać, jakoby salon nasz mieścił zgromadzenie akcyonaryuszów, naradzających się nad statutami towarzystwa, gwoli sadzenia drzew oliwnych i zbudowaniu fabryki marynowanych sardelek. Jeżeli kiedy usłyszę, że Floryda zaprowadziła te gałęzie przemysłu, nie będę wątpił, iż owe zebranie rzuciło pierwszą myśl tej spekulacyi.

Jak oni praktycznie patrzą na świat w tej Ameryce, i to często pomimo koniecznej nieznajomości nauk ścisłych. Z tej nieznajomości skorzystałem owego wieczora, aby odwrócić rozmowę od tematu sardelek. Ja jeden wytrwałem wiernie przy kreolce, korzystając z zajęcia innych panów. Bardzo mi było z tem dobrze, lecz *Miss* Nora potrzebowała świty. Jeden anioł z nieba nie byłby jej wystarczył, tembardziej więc ja nie wystarczałem.

— Jacyż to nudziarze! Przerwij pan tę niedorzeczną rozprawę, szepnęła do mnie, słodząc gorzką pigułkę słodkim uśmiechem.

Spełniłem rozkaz z westchnieniem, lecz wiernie. Zanim pan Jonasz wiedział o co chodzi, wciągnąłem go w rozprawę o zoologicznej klasyfikacyi sardelek. Oniemiał gdy usłyszał o brzuchopletwych i miękkopletwych. Gdy wręcz oświadczyłem, że sardele należą do szóstego rzędu ryb, zdał się gromem rażony.

— Ja... ja, myślałem, mruczał, że to młode śledzie.

— A do jakiego rzędu należą śledzie? zapytałem z powagą inspektora, co egzaminuje C. K. galicyjskie gimnazyum.

— Licho wie... może do sztokfiszów, gdy podrosną!

Za pomocą szeregu pytań wplątałem go w definicyę, że serdele, śledzie, sztokfisze i t. d. wedle wielkości są tylko niedorostkami wielorybów, i że trzyma wszystkie gatunki ryb w swoim sklepie hurtowym, w soli. Miss zatykała usta chustką od śmiechu, a towarzystwo bawiło się nami chwilę i przeszło do mniej niebezpiecznych tematów, niż zoologia lub ichtyologia. Tą przysługą zwróciłem cały dwór Miss Nory do lojalności dla swojej bogini, oraz zjednałem jej wdzięczność do końca podróży.

Historya Saint Augustine tworzy romantyczny rozdział w romantycznych dziejach białego zaboru środkowej Ameryki. Odkrywcy Florydy należeli do krwiożerczych lecz bohaterskich drapieżników na wzór Korteza. Miasto zbudował hiszpan Menendez. Poczytywał on za najmilszą zabawkę wycinać Indyan, którzy nie chcieli chrzcić i palić Hugenotów francuzkich, zapędzonych burzą na wybrzeża Florydy, w podróży z Europy do Karoliny. W przeciągu jednego tygodnia zamordował on 4 gromadki takich rozbitków, a każda z nich liczyła przeszło 150 dusz! Składały one broń z ufnością, nie przeczuwając, że spotkały w Nowym świecie sroższych tygrysów, od tych, których prześladowanie wypędziło ich z Francyi. Po rozbrojeniu powiadano im, że Opatrzność nie wybaczyłaby gubernatorowi miasta, gdyby nie wyciął w pień heretyków. Działo się to, chociaż królowie Hiszpanii i Francyi żyli w zgodzie.

Rola odgrywana przez Hiszpanów w Ameryce tworzy wieczną zakałę w historyi tego nędznego narodu. Jeżeli Opatrzność w istocie karze grzechy ojców na potomstwie, to sto pokoleń młodej Hiszpanii nie odpokutuje swojem poniżeniem zbrodni dawnych Hiszpanów. Nie dziw, że wszystkie inne narodowości łączyły się przeciw nim w koloniach, jakoby przeciw smokom lub jędzom, które wypada tępić. Francuzi, Anglicy, Holendrzy i t. d. wojowali pomiędzy sobą, póki nie pokazała się w dali bandera hiszpańska. W takim wypadku zawieszali swoje spory i wspólnie rzucali się na tygrysów Nowego świata. Floty pół kupców, pół korsarzy, zwanych bukanierami, z załogami z różnych narodowości europejskich, zajmowały się głównie niszczeniem osad i galarów hiszpańskich, Napróżno królowie europejscy zawierali pokój i traktaty z Filipami. Ich poddani w Ameryce nie rozumieli zawieszenia broni albo zgody z Hiszpanami. Wszystkie dłonie podnosiły się przeciw okrutnym konkwestadorom, dłoń hiszpańska spadała na wszystkich.

Floryda nieraz cierpiała za grzechy swoich panów. Słynny admirał angielski Drake tępił ogniem i mieczem jej pierwsze miasta. Francuzi z Karoliny i Anglosasi z Georgii przerywali swoje wojny i w złączonych szeregach najeżdżali Florydę. Saint Augustine ocalało, dzięki warowni Fort Marion. Gdy Hiszpania ustąpiła Florydę Anglii w r. 1763, wszyscy mieszkańcy tego miasta wynieśli się do Kuby, lekając się zemsty protestantów, za spalenie mnóstwa swoich braci. W r. 1783 Hiszpania odzyskała Florydę na mocy traktatu. Mieszkańcy pierwotni powrócili do Saint Augustine, sprowadzając Belearczyków do wzmocnienia swojej liczby. Niebawem zmienili nowszych spółkolonistów w niewolników. Dopiero po zajęciu Florydy przez Stany Zjednoczone skończyły się trzywiekowe auto da-fe, mordy i pożogi we Florydzie, a Belearczycy odzyskali wolność.

Rozpisałem się obszernie, zbyt obszernie może o małem Saint Augustine, a to z przyczyny, że nie wiele miast piętnuje się równie silnie w pamięci turysty, jak ta kolonia hiszpańska, utkwiona naksztalt wysepki pośród anglosaskiego morza.

Nazajutrz po owej uczonej rozprawie o sardynkach powróciliśmy do Tocoi i wsiadłszy na inny statek, popłynęliśmy ku źródłom Saint John.

Rzeka ta płynie równolegle z morzem, od południa do północy, zbliżając się czasem do wybrzeża do tego stopnia, że o 300 mil ang. od swego ujścia oddziela ją tylko 9 milowe, poziome pasmo lądu od meksykańskiej zatoki. Rzeczywistych jej źródeł nie znaleziono dotąd w prowincyi bagnisk pokrywających większą część południowej Florydy.

Rzeka tworzy pomiędzy Tocoi i Palatką łańcuch wspaniałych jezior, połączonych wązkiemi i krętemi kanałami. Żeglując w nocy na tych jeziorach wydaje się nieraz, że płyniemy po morzu gładkiem naksztalt szyby szklanej. Oko nie sięga w zmroku do dalekich brzegów... skłon niebieski zagina się nad nami, odbija w toni, tworzy drugi firmament pod nami. Przejrzysta błonka rzeki przecina na poły banię błękitną... Takiej rzeki i takiej nocy nie widziałem w żadnej strefie.

Palatka, najludniejsze miasteczko Florydy po Jacksonville, słynie jako zimowe leże dla suchotników, oraz z fabryk materaców z mchu Florydy (roshar i edredony nie tworzą równie przyjemnego łoża), z wanilowego liścia i z komarów. Niedaleko od niej pokazują ciekawe siarczane źródliska, zwane Zieloną sadzawką. Woda jej o barwie zielonawej oliwy żywi mnóstwo ryb obleczonych osadem siarki,

tudzież składa siarkę na wszystkich włożonych przedmiotach. Rozumie się, że mnóstwo chorych osób zjeżdża się do tej kąpieli.

Od Palatki zaczynają się szerokie plantacye pomarańcz, guawów, ananasów i bananów, zaopatrujące rynki północne w owoce tropikalne. Cokolwiek dalej na południe dojrzewa trzcina cukrowa. Rzeka tworzy przy Palatce szerokie, okrągłe jezioro, wysadzone dokoła ogrodami pomarańczowemi. Śród tych dziedzin Hesperydesów, gdzie każdy powiew wiatru zwiewa perfumy i strząsa złote owoce z drzew, toną wille plantatorów. Żywopłoty z bagnetowych kaktusów rozdzielają pomarańczarnie. W nocy, gdy księżyc obrąbi liście drzew srebrem, gdy zbudzi nocne kwiecie do otworzenia koron wonnych, gdy wyleje długi szlak złota na granatową rudę, gromadki murzynów krążą pomiędzy plantacyami, śpiewając dziwaczne ballady swojego plemienia. Gitary brzęczą, tętnią tamburyny, klekoczą długie kostki z zioberek wołowych. Tony harmonijne płyną po nad jeziorem do statków spoczywających na kotwicach. O takich nocach pewno marzył Szekspir, pisząc ową scenę przy księżycu w kupcu Weneckim, albo *Midsummer Night's Oream.* Wszystko to piękne, póki wiatr wieje i odpędza komary. Ale podczas ciszy gryzą one, bzykają, wlatują do ust, świdrują się pod odzież... wtedy wolałby niejeden mieszkaniec rajskiej Palatki przenieść się pod biegun.

Plantacye cukru rozwinęłyby się lepiej w tej okolicy, gdyby nie brak robocizny. Lecz biali nie mogą tu pracować w dusznych kępach trzcinowych śród lata, a czarni nie chcą. Po co im pracować? Ogródek bananowy daje utrzymanie bez pracy. Liczbą swoją zjednali oni sobie znośniejsze stanowisko we Florydzie niż w wielu innych południowych stanach. Był czas, gdy cały parlament w Telehasee (stolicy Florydy) składał się z nieokrzesanych murzynów i przedstawiał najkomiczniejsze zgromadzenie prawodawcze na kuli ziemskiej. Zwolna odzyskują jednak biali przewagę, a gdyby władze związkowe nie mieszały się do spraw Florydy, odpędziliby murzynów od urn wyborczych i nie pozwoliliby im wywierać wpływu na rząd kraju. Ekonomicznie skorzystałaby Floryda na tem; lecz natomiast żaden murzyn nie mógłby liczyć na wymiar sprawiedliwości w sporach z białymi sąsiadami. Cała ta kwestya stosunku dwóch ras jest nadzwyczaj zawikłaną. Pozwoliwszy murzynom głosować, rzucamy białych właścicieli na pastwę ciemnego i marnotrawnego proletaryatu, kraj ubożeje i dziczeje. Dając białej, mniej licznej części przewagę polityczną, pozwalamy jej pastwić się nad trwożliwą, śniadą większością.

W Palatce przesiedliśmy się na mniejszy parowiec *Marion*, wyglądający nakształt pływającej chaty pionierskiej. Dno miał płaskie, szerokości stóp dwadzieścia zaledwie. Wewnątrz zawierał 3 przedziały. W przednim była maszyna i mieszkała załoga, środkowy salon służył na ogólną jadalnię w dzień, a w nocy na sypialnię dla panów, w ostatniej kajucie przebywały damy.

Tu przyłączył się do naszego towarzystwa nowy dziwak. Anglik rodem, kapitan (nie wiem czy morski czy lądowy) Peters, jeden z owych synów Albionu, co wyszukują najgłuchsze zakąty na kuli ziemskiej, aby żyć wedle własnego kaprysu. Mieszkał on podobno w ogromnem domisku nad górną Saint John, podobnem do stodoły zewnątrz, nietynkowanem wewnątrz. Bawił się tam w pustelnika, trzymając tylko jednego starego sługącego, liczną psiarnię i menażeryę z jeleni, czapli, kur i rozmaitych ptaków i płazów. Karmił aligatory zwierzyną i rybami, które zabijał własnoręcznie. Trudnił się głównie polowaniem, rybołóstwem, zbieraniem jaj ptasich i wężów jadowitych do spirytusu. Człowiek ten odbierał rocznie z Anglii kilka tysięcy funtów szt., czyli raczej przysełano takowe dla niego do Jaksonville, gdzie je chwytali wierzyciele, bo pustelnik Peters, żyjąc jak dziki indyanin, wydawał więcej pieniędzy od niejednego księcia i miał kredyt nieograniczony we wszystkich miastach nad Saint John. Czas wolny od innych zajęć zapełniał pielęgnowaniem wspaniałych bokobrodów i dzieleniem włosów na środku ciemienia, jak dziewczyna. Tu wypada mi dodać, z westchnieniem nad niewieścią niestałością, że Miss Nora zobojętniała względem adwokata z Chicago i sardelowicza z Hartford, skoro ten Anglik zjawił się pomiędzy nami. Słuszny, przystojny, trzydziestoletni blondyn był jedynym bratankiem bezdzietnego lorda angielskiego. Dziedzica koronetu i ferm szerokich, i zamków normandzkich, i wstępu na dwór królewski, przyjęłaby zapewnie dziedziczka cukrowych plantacyi, nawet z menażeryą, z pieszczonym aligatorem i z grzechotnikami w spirytusie. On nie zwracał jednak z początku uwagi na południową dziedziczkę.

(d. c. n.)

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammariona.

Streszczony przez

Joannę Belejowską.

IX.

Saturn.

Przenosząc się z Ziemi do Marsa, przebyliśmy 19 milionów mil (cztero-kilometrowych); od Marsa do Jowisza 136 milionów, a chcąc dosięgnąć Saturna musimy jednym skokiem przebiedz jeszcze 163 milionów mil, ponieważ ta planeta odległa jest o 355 milionów mil od centralnej gwiazdy naszego systemu, to jest blizko o dziesięć razy więcej niż Ziemia.

Jeszcze nie spełna wiek temu tu kończyły się granice rzeczypospolitej słonecznej, gdyż Saturn jest ostatnią z planet dostrzegalnych gołem okiem, ostatnią także ze znanych starożytnym, i od najdawniejszych czasów powolny jego obrót trwający blizko trzydzieści razy dłużej niż rok ziemski, uważany był za ostatnie krańce układu planetarnego. Saturn przedstwia się jako blada gwiazda pierwszej wielkości; wlecze się powolnie po swej odległej drodze; jest jakby symbolem Przeznaczenia i Czasu, i w owych wiekach gdy wierzono w astrologię, uważany był za zgubne bożyszcze, za gwiazdę nieszczęścia straszny wpływ wywierającą na losy ludzkie. Nikt wtedy nie domyślał się prawdy, nikt nie wyobrażał sobie że odległa ta gwiazda jest światem daleko większym od naszego, i nietylko światem ale całą gromadą światów, składających się jak układ słoneczny z gwiazdy centralnej i ośmiu głównych globów uwieńczonych nadzwyczajnym dyademem którego światy godne byłyby stanąć w rzędzie planet, ponieważ jeden z nich przewyższa Merkurego i Marsa. Kto mógł przypuszczać że w tak wielkiej odległości od Słońca i od naszego wzroku, teleskop wykryje podobny wszechświat?

Saturn odbywa swój obrót około Słońca w 10,759 dni, to jest w lat naszych 29 i dni 167. Ponieważ droga jaką przebywa wynosi 2 miliardy 215 milionów mil, zatem odbywa w przestrzeni 9,500 metrów na sekundę, a więc posuwa się trzy razy wolniej niż Ziemia. Saturn ma 100,000 mil obwodu; powierzchnia jego jest 90 razy wieksza od powierzchni Ziemi, a objętość 864 razy większa od małej naszej planety. Waży tylko 92 razy więcej od Ziemi, co dowodzi że składa się z lżejszych materyałów i że średnia jego gęstość stanowi zaledwie 130 tysięczną część gęstości naszej planety. Jest to lekkość drzewa klonowego; Saturn rzucony na morze, pływałby po niem jak kula drewniana.

Dnie Saturna są prawie dwa razy krótsze od naszych, ale rok blizko trzydzieści razy dłuższy, obejmuje bowiem bajeczną dla nas liczbę 25,069 dni. Każda pora roku trwa przeszło 7 lat, ale pod względem sprzeczności między latem a zimą nie wiele różni się od naszych. Równie jak na Ziemi klimat dzieli się tam na gorący, umiarkowany i lodowy. Ponieważ Saturn jest dziesięć razy więcej niż Ziemia odległy od Słońca, więc wydaje się ono ztamtąd 10 razy mniejsze w średnicy a 90 razy mniej rozległej powierzchni i także 90 razy mniej odbiera od niego światła i ciepła, tak więc przedstawia świat ten całkiem odmienne niż na naszym padole warunki życia. Saturn przedstawia jedyny fenomen w układzie słonecznym: kula tworząca właściwą planetę, otoczona jest w dość znacznej odległości pierścieniem prawie płaskim i bardzo szerokim. Patrząc z Ziemi, zdaje się że jedna część pierścienia zachodzi na planetę, zaś przeciwna przechodzi po za planetą. Pierścień ten jest wyraźnie rozdzielony na dwoje; rozdział ten bliższym jest brzegu zewnętrznego niż wewnętrznego. Może nawet układ ten pierścieniowy dzieli się na wielką liczbę odśrodkowych pierścieni, gdyż patrzący przez doskonałe narzędzia dostrzegają niekiedy ślady wielu podziałów, jednak dotąd nie rozstrzygnięto stanowczo czy one rzeczywiście istnieją.

Oprócz tego cudownego układu pierścieniowego, Saturn został jeszcze obdarzony świetnym szeregiem satelitów aż ośm światów towarzyszy mu i podziela jego losy. Te światy obejmują aż 2 miliony mil przestrzeni. Satelici Saturna nie jednocześnie zostały odkryte, ale stopniowo według ich blasku i udoskonalania narzędzi optycznych.

Tak więc ogromna kula Saturna jest środkowym punktem prawdziwego wszechświata, bardzo odległego i daleko większego niż ten jaki wytworzyła sobie wyobraźnia naszych naddziadów i w ogóle ludów wcale nie znających astronomii, gdyż dokładne wymiary astronomiczne przewyższają najzuchwalsze mrzonki.

Jakież są warunki mieszkalności na tych światach, jaką analogię i jakie różnice przedstawiają one z naszą Ziemią, pod jaką formą życie może się objawiać na Saturnie i jego satelitach?

Saturn otoczony jest atmosferą przypominającą atmosferę Jowisza pod względem ogólnego rozkładu a H. Secchi uważał, że także analogia zachodzi i między widmami obu planet. Obok tego wykazał w widmie Saturna linie nie odpowiadające żadnej ze znajdujących się w atmosferze ziemskiej i wywnioskował z tego, że atmosfera Saturna zawiera w sobie gazy nie istniejące w naszej. Zresztą atmosfera tej planety jest tak gęsta i tak obciążona chmurami, iż nigdy nie dostrzegamy powierzchni gruntu, wyjąwszy może w stronach północnych, zazwyczaj bielszych od stref umiarkowanych i zwrotnikowych, może dla tego że są pokryte śniegiem; ale nie można odróżnić na Saturnie gruntu geograficznego, lądów, mórz i różnego ukształtowania.

Siła ciężkości na powierzchni Saturna przewyższa blizko o dziesiątą część istniejącą na Ziemi, ale ge-

stość substancyi jest tam siedm razy słabszą, a nad to kulista forma planety dowodzi, że, jak na Jowiszu tak i na Ziemi, gęstość ta zwiększa się od powierzchni ku środkowi, substancye zewnętrzne są niepojęcie lekkie. Z drugiej strony jeśli atmosfera ta jest tak głęboka jak się wydaje, musi być u dołu nadzwyczaj gęsta, wywierać ogromne ciśnienie i być daleką cięższą niż zewnętrzne przedmioty. Czyż więc mieszkańcy Saturna są to istoty aerostatyczne, niezdolne utrzymać się na gruncie i unoszące się w atmosferze?...

Nie ulega zaprzeczeniu że Saturn jest światem więcej powietrznym niż nasz, że atmosfera jego wielką odgrywa tam rolę a gęstość ciał jest bardzo słaba. Takie ciśnienie atmosferyczne byłoby przerażające, gdyby świat ten był tak zimnym jakby to można wnosić z powodu jego oddalenia od Słońca. Ale dostrzegania teleskopowe każą wierzyć że jest daleko większe ciepło niż mogłoby istnieć z takiej odległości od Słońca. Woda mogłaby tam znajdować się tylko w stanie stałym, to jest jako lód; nie mogłaby także wytwarzać się para wodna z której powstawałyby chmury podobne naszym. Jednakże dostrzega się tam zmiany meteorytyczne odpowiednie obserwowanym na Jowiszu, tylko nie tak silne, tak więc fakta łączą się z teoryą aby nam pokazać że świat Saturna, ma tak wysoką, jeśli nie wyższą jak nasz temperaturę.

Zkądże się bierze to ciepło? Zapewnie wynika ono z samejże kuli Saturna która z powodu swej olbrzymiej wielkości, nie zastygła jeszcze jak nasza planeta. Kto wie zresztą, czy fizyczny i chemiczny skład jego atmosfery, jakoteż wpływy kosmiczne wynikające z tajemniczego połączenia pierścieni i hufca ośmiu satelitów, nie wytwarzają wspólnie pewnych wypływów elektrycznych i pewnych ruchów nie zamieniają w ciepło? Ileż to nieznanych nam jeszcze sił kryje się w przyrodzie! To pewna że ruchy dostrzegane na tym oddalonym świecie, nie dopuszczają wnosić iż panuje tam martwość i bezwładność, lecz przeciwnie najnowsze dostrzegania znakomitych uczonych dowodzą: iż działają tam i w jego utmosferze siły daleko potężniejsze niż siły ziemskie.

Gdyby samo Słońce regulowało temperaturę Saturna, pory roku nie różniłyby się tam z sobą więcej od naszych: lecz powiedzieliśmy wyżej że świat ten korzysta ze źródła ciepła niezależnego od promieni słonecznych, ztąd wynika że zimno jest tam umiarkowane i mimo słabego działania ciepła słonecznego, zimy są nie tak mroźne jak ziemskie. Każda z tych pór roku trwa tam przeszło siedm lat naszych.

Dziwaczny kalendarz Saturna nietylko obejmuje 25,060 dni, ale jeszcze ośm rodzai odmiennych miesięcy, których długość zmienia się od 22 godzin aż do 79 dni naszych, czyli od 2 dni saturnowych do 167.

Mieszkańcy takiego świata muszą koniecznie różnić się od nas bardzo pod każdym względem. Lekkość gatunkowa substancyi saturnowych i gęstość atmosfery, wytworzyły zapewnie organizacyę żywotną całkiem różną od ziemskiej, i objawy życia musiały się tam objawić i rozwinąć w niepojętych kształtach. Przypuszczając że nie ma tam nic stałego, że sama planeta nie ma szkieletu, że wszystko tam jest płynne, że żyjące tam istoty są galaretowate, słowem że wszystko jest niestałe, przekraczalibyśmy granice wywnioskowań czysto naukowych, lecz niezawodnie ze wszystkich światów układu słonecznego, Saturn najwięcej zbliża się do podobnego stanu. Nie tylko warunki ciężkości są tam szczególniejsze, ale nadto zmieniają się odnośnie do szerokości.

Gdyby Sfinksy przemówiły, gdy posągi Memnona odezwały się zrozumiale, głos przyrody powiedziałby nam może, że Saturnianie mają ciała przezroczyste przez które widać krążące życie; że nie czują nigdy ciężaru materyi, że latają bez skrzydeł w pośród pożywnej atmosfery; że nie są, jak my tu, zmuszeni przyjmować pokarmy, że posiadają ustrój nerwowy daleko czulszy od naszego; że obdarzeni są jakby wrodzoną wiedzą i wśród niczem niezamąconego szczęścia badają tajemnice niebios i światów, i w stanie niemal anielskości, żyją życiem trzydzieści razy dłuższem od naszego.

Widzimy więc że świat Saturna nie ma żadnej analogii z naszym, a życie musi tam być zupełnie inne.

Dla mieszkańców Saturna Ziemia wydaje się *małym punkcikiem* świetlanym, nie oddalającym się od Słońca więcej nad 6°. Jest to w każdym razie ostatnia planeta z której można jeszcze dostrzedz nasz mały światek, dla reszty wszechświata, dla nieskończoności całej jakbyśmy nie istnieli. A z resztą choćby tam dostrzeżono naszą planetę, to wcale nie zajmują się *nami* ponieważ maleńki ten światek uznany został przez akademików Saturna, za marny, spalony, pusty i niezamieszkały.

Co do satelitów Saturna, zdaje się że także są mieszkalne i zamieszkane; o pierścieniach tylko przypuścić tego nie można. (*d. e. n*).

Wiadomości naukowe z Paryża

zebrane przez K. G.

Mówiąc o wynalazkach nie podobna nie wspomnieć o nowem odkryciu nader ważnem, bo mającem bezpośredni stosunek ze zdrowiem ludzkiem. Zajął on nadzwyczajnie myślącą część mieszkańców Paryża i piszą o nim dzienniki, przeznaczone już nie tylko dla specyalistów, ale i dla zwykłych śmiertelników.

Wiadomo o ile zamknięta działalność skóry ludzkiej jest szkodliwą i naodwrót znów ile zbytnie pocenie się osłabia człowieka i przyśpiesza jego zgon szczególniej we wszelkich chorobach piersiowych. Otóż wynalezionym został środek natychmiastowego wzbudzenia potów i do równie szybkiego powstrzymania takowych.

Człowiek drżący od zimna skoro zażyje *zaborandi* to wkrótce całe jego ciało oblane będzie potem, a przy największem nawet zmęczeniu skóra jego zachowa suchość niezwykłą, skoro przyjmie w odpowiedniej ilości *sulfate d'atropine*. Osoby skłonne do pocenia się używają często tego środka szczególniej w tańcach, ale ponieważ jest on bardzo energicznym, sądzilibyśmy więc dla ich własnego dobra, aby nigdy nie czyniły tego bez porady doktora. Powyż wzmiankowane środki znalazły uznanie we Francyi, w Anglii Niemczech i Ameryce, czyli że o ich skuteczności wątpić prawie niepodobna.

* * *

Zmarły niedawno w Paryżu senator Paweł Laufrey był ważnym nader objawem nowego zwrotu w pojęciach narodu francuzkiego. Wiadomo bowiem ile wielkie zwycięztwa odniesione kiedyś przez Napoleona I-go, jego nawet upadek będący następstwem olbrzymiej walki stoczonej z całą prawie Europą, okrywały postać cesarską urokiem nadzwyczajnym, napełniając dumą serce każdego Francuza, tak szeroko rozwiniętej w całym narodzie.

Krańcowi nawet republikanie jak Wiktor Hugo, biją czołem przed znakomitą postacią wielkiego wodza, karcąc surowo wszelką zniewagę wyrządzoną jego pamięci.

Paweł Laufrey pierwszy znalazł odwagę do rozumowego okazania o ile jest złudną legenda cesarska.

Wprawdzie nie odmawia on geniuszu Napoleonowi I mu, ale bada starannie jego czyny, nie oddzielając takowych ani od pobudek ani od następstw będących bezpośrednim wynikiem.

Z tego stanowiska rozbierana historya Napoleona I go traci wiele na swojem znaczeniu.

Wojownik ten, powiada autor, nieznoszący w żadnym kierunku najmniejszego oporu, uważał rząd osobisty za najdoskonalszy, karcąc surowo wszelkie objawy przeciwne jego woli. Nie tylko nie dokładał żadnych usiłowań celem przyśpieszenia politycznej dojrzałości narodu, ale przeciwnie opóźniał takową w widokach łatwych do zrozumienia. W stosunkach więc wewnętrznych powstrzymał a nawet cofnął właściwy rozwój postępu, tworząc nową dynastyą i do widoków takowej zużywając siły i zasoby Francyi.

Zewnętrzna jego polityka była również przesiąkłą dawniejszem barbarzyństwem. Był on niejako uosobieniem zasady przemocy; zdobycz i rabunek więc stały na porządku dziennym.

Wszędzie gdzie tylko mógł chciał zastąpić Burbonów własną rodziną, wprowadzając przemocą braci na rozmaite trony europejskie. Była to pycha niemal szatańska, bo umysł tak niepospolity podejmował każde dzieło nie inaczej jak tylko w wielkich rozmiarach. Rządy i ludy zapominając o nieporozumieniach wewnętrznych połączone zostały we wspólnym celu obalenia najezdnika, gwałcącego samowolnie wszelkie wyobrażenia monarchiczne i republikańskie.

Wedle zdania Pawła Laufrey czas byłoby zerwać z legendą cesarstwa, jeżeli Francya jest rzeczywiście dojrzałą do samoistnego kierowania własnemi losami.

Wyobrażenia zmarłego senatora były tylko wykładnikiem nowego prądu wyobrażeń. Miał on tylko odwagę wypowiedzieć to co inni myśleli pocichu. W miesiącu bowiem Maju 1871 r. wzburzony lud paryzki zdruzgotał posąg Napoleona.

W ocenieniu jednak tej wielkiej postaci historycznej nie trzeba zapominać słynnego określenia Henryka Heine.

„My Niemcy, mówi on, jesteśmy grubo zapłaceni aby wielbić szczerze Napoleona I-go. Jednem uderzeniem nogi wywrócił on w naszym kraju dawny gmach gotycki mogący trwać długie jeszcze czasy. Dla nas był on uosobieniem rewolucyi konnej, chociaż we Francyi skrępował takową i zbezwładnił najzupełniej. Otóż dla tej przyczyny jako Francuz otoczyłbym jego nazwisko największą nienawiścią, a jako Niemiec wspominam o nim z czcią i uwielbieniem.

Wracając do Pawła Laufrey to działanie jego z różnych względów przedstawia wiele nauczających przykładów. Opisywanie szczegółowe życia przekroczyłoby zakres opracowania, ale uwydatnimy jeden szczegół dowodzący niepodległości umysłu z jednej a wielkiej odwagi cywilnej zmarłego z drugiej strony.

Po słynnej klęsce sedańskiej Gambetta jako minister wojny stanął na czele obrony narodowej. Nieposiadając geniuszu zdolnego własną siłą wypełnić wiele niedostatków, nie był odpowiednim do dzieła tyle olbrzymiego. Wedle twierdzenia żołnierzy brakowało jenerałów zdolnych; wedle zdania jenerałów, zbywało na żołnierzach, umiejących dotrzymać kroku a nawet złamać szeregi nieprzyjacielskie. Prawdopodobnie jedni i drudzy mieli słuszność, to też ustawiczne klęski były udziałem armii francuzkiej. Rząd obrony narodowej dla widoków strategicznych, jak zapewniał, posuwał się coraz

bardziej ku południowi i przy przedłużonej wojnie byłby się z pewnością znalazł po za Pirenejami.

Prusacy po zniesieniu armii regularnej rozpocząwszy układy o pokój usłyszeli odpowiedź dumną Jules Fawra.

— Bierzcie pieniędzy wiele chcecie, ale nie odstąpimy wam ani jednego cala ziemi ani jednego kamienia z twierdzy francuzkiej.

Zdanie wielkiego znaczenia, ale o tyle tylko o ile jest poparte wykonaniem.

W razie przeciwnym jest tylko szumną przechwałką, pysznym frazesem wywołującym mimowolny uśmiech na usta. Tworzone na prędce armie nikły jedna po drugiej, a ośmieleni Prusacy do najwyższego stopnia, nie chcieli nawet brać do niewoli ruchawkę francuzką przybraną w mundur gwardyi narodowej. Najśpieszniejsze zatem zawarcie pokoju było rzeczą najrozumniejszą i najbardziej patryotyczną. We Francyi jednak każde stronnictwo, bez względu na jego rodzaj myśli przedewszystkiem o własnych korzyściach, choćby przyszło okupić stratami kraju. Napoleon III wypowiedział wojnę Prusakom celem utwierdzenia swej dynastyi, a republikanie bez względu na niepodobieństwo chcieli prowadzić wojnę aż do ostatecznego zwycięztwa, uważając tę drogę za najlepszą do zaprowadzenia rzeczypospolitej we Francyi.

Powyż wyrażone zdania: nie oddamy ani jednego cala ziemi ani jednego kamienia, walka na pięście i t. p. jako modne, spoczywały na ustach wielu, chociaż rzeczywiście bardzo mało serc i umysłów ożywionych było podobnemi myślami.

W obec jednak wymagań pruskich nikt nie śmiał radzić zawarcia pokoju, z wyjątkiem dzienników bonapartystowskich wydawanych po za granicami Francyi. Co ważniejsze przy koniecznej potrzebie utrzymania zgody w stronnictwie republikańskiem, działanie Rządu obrony narodowej, jakkolwiek zostawiające wiele do życzenia, nie ulegało krytyce, bo nikt się nie ośmielił wyrazić jawnie nieprzyjaznego sądu. Prawda jednak tylko zbawia narody, a wszelkie schlebiania stronnicze prowadzą do zguby. Trzeba zatem było wiele patryotyzmu aby uderzyć na powagę taką jak Gambeta i koledzy jego. Uczucie to widocznie ożywiało w wysokim stopniu serce Pawła Laufrey, kiedy w liście ogłoszonym publicznie w dziennikach, wykazał całą nicość nieudatnego dyktatora Francyi, i radził śmiało jak najśpieszniejsze zwołanie izby do ustanowienia prawidłowego rządu. Zmarły więc senator nie dbał o względy wielkich tego świata i miłował prawdę nadewszystko, co w dzisiejszym wieku dyplomacyi i samolubstwa zasługuje na wielkie uznanie. Byłoby do życzenia, aby we wszystkich narodach w wielkich przesileniach, znaleźli się zawsze ludzie umiejący wypowiedzieć prawdę bez względu na następstwa.

Przegląd literacki.

Reineke Lis, poemat Getego w 12 pieśniach z rysunkami podług Kaulbacha, sześciomiarem (hexametrem) polskim opracował L. Jenike. Warszawa 1877.

Wszelkie poemata i utwory pomniejsze, tak prozą jak wierszem, bajki i t. p. w których występuje świat zwierzęcy, są według najnowszych badań, dwojakiego pochodzenia. Po pierwsze bywają to ułamki tak zwanej „epopei zwierzęcej", sięgającej wieków odległych, gdy ludzie pozostając w blizkich stosunkach i w lepszej niż później harmonii z przyrodą i światem zwierzęcym, przypisywali życie przedmiotom martwym, a rozum, charakter i mowę, wszystkim tworom żyjącym. Ztąd w dobrej wierze śpiewano pieśni o wydarzeniach świata zwierzęcego i o jego bohaterach, zupełnie tak samo, jak o świecie ludzkim z jego bohaterami. Po drugie podobne utwory, jako czyste alegorye, jako sztuczne płody pojedyńczych autorów i poetów, zawsze zaprawne dążnością satyryczną lub moralizującą, podające prawdę, nieraz gorzką, w bezpiecznej szacie alegoryi zwierzęcej, udzielające nauk i przestróg, a więc w gruncie dydaktyczne, te są płodem późniejszych czasów. Tu przedewszystkiem należą bajki, których układanie tradycya wszystkich niemal narodów przypisuje ludziom ubogim, zależnym, uciśnionym i niewolnikom, którzy szukali w formie alegorycznej bezpieczeństwa od gniewu możnych za wypowiadaną w tych bajkach dotkliwą prawdę. Takie były znane w Indyach bajki Pilpaja, bajki arabskie, greckie (Ezopa) i późniejszych naśladowców owych dawnych wzorów: Babriosa u Greków, Fedra u Rzymian, Lafontaina u Francuzów, naszego Krasickiego i t. p.

Zdarzało się jednak nieraz, że baśń zwierzęca, większych lub mniejszych rozmiarów, jednoczyła w sobie oba te źródła, to jest że pisarze późniejsi czerpali przedmiot ze starodawnych tradycyi, a nawet z dawniejszych zabytków: opracowywali ułamki ludowej epopei zwierzęcej, nadając im bardziej artystyczną formę. Tak się też prawdopodobnie stało i z „baśnią o lisie", która w swej osnowie znaną jest wszystkim narodom aryjskim. Pierwsze opracowanie poetyckie poematu o lisie zostało dokonanem w Niderlandach w wieku XV; z holenderskiego przełożono go potem na niemiecki, a ostatecznie słynny Gete przerobił ten dawny utwór i nadał mu formę gładkiego poematu, który obecnie p. Jenike wierszem polskim przełożył, a raczej opracował, gdyż opuścił lub skrócił wiele ustępów nieco rubasznych lub przeciwko kościołowi i religii skierowanych, które mogłyby zanadto urazić uczucia moralne i religijne naszych czytelników, tem bardziej że przekład p. Jenikego drukowanym był uprzednio w Tygodniku Illustrowanym piśmie przeznaczonem dla rodzin, dla czytelników wszelkiej płci i wieku. Pod tym względem, pomimo wymierzonych przeciwko tłomaczowi przez niektore pisma warszawskie zarzutów, wypada przyznać mu słuszność: miał bowiem tłomacz do wyboru albo zrzec się drukowania swojej pracy w szpaltach Tygodnika albo wprowadzić powyższe zmiany; wyznajemy jednak, że gdyby pan J. zamierzał ogłosić swój utwór jedynie w osobnej książce, to byłby pożądanym przekład niezmieniony, który, oczywiście, byłby przeznaczonym tylko dla dojrzalszych znawców i miłośników literatury, nie zaś dla szerszego koła czytelników. Wzmiankowanym zaś pismom chodziło, jak widać, przedewszystkiem, o szerzenie trywialności i nagiego realizmu pomiędzy czytelnikami wszelkiej płci i wieku.

Treść staroświeckiej tej baśni jest, w krótkości, następująca. W państwie zwierzęcem, którego królem jest lew, przebiegły lis pozwala sobie różnych gwałtów i wybryków, na które dochodzą do króla zażalenia. Niedźwiedź i wilk należą do wrogów lisa i wszelkiemi środkami usiłują go zgubić, ale chytry Reineke wyprowadza wszystkich w pole swoją przewrotnością, kłamstwy i podstępem, obałamuca samego króla, zabija lub naraża złośliwie na kalectwo rozmaitych wysyłanych do niego od króla posłów i zawsze, nawet już stojąc pod szubienicą ze stryczkiem na szyi, umie wykręcić się od niebezpieczeństwa. Ma on także zwolenników u dworu jak borsuka, a głównie pomiędzy płcią niewieścią rozmaite małpy i samą królową. W końcu zwycięzywszy podstępem swego wroga wilka w publicznym pojedynku (średniowieczne sądy boże) zyskuje na nowo względy króla, który mianuje go nawet swoim namiestnikiem i powierza mu pieczęć kanclerską. Tak w końcu złość i przebiegłość odnoszą tryumf, a wrogowie lisa przegrywają sprawę, dla tego właśnie, że i oni nie są bezwarunkowo przedstawicielami prawości i cnoty, a gdzie walka pomiędzy złymi tam lepsza jest złość połączona z rozumem, niż gburowata i nieokrzesana.

(d. n.)

Opis ryciny kolorowej.

Ubranie balowe. Wycięta suknia princesse z kolorowego tarlatanu, ma cały przód w formie plastronu nagarnirowany zachodzącemi na siebie falbankami plisowanemi, z boku zakończony riuszami, które przechodzą przez ramiona i z tyłu spuszczają się na długość stanika z baskiną. Na brytach bocznych dane naprzemian plisy i wąziutkie plisowanie w górze kończące się pod gałązką kwiatów, a na brycie tylnym przerzucone bardzo zręcznie draperye przepięte na końcach kwiatami. Szmizetka z plisowanej iluzyi dana w koło wykroju stanika; kwiaty we włosach; rękawiczki haftowane kolorowym jedwabiem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Bonawenturze J. w Swoszynie. Gdyby można żyć samemi tylko marzeniami, ideały królowałyby na ziemi, ale niestety! jesteśmy ludźmi i musimy pracować. Prosimy jednak zastanowić się, czy nie idee przewodniczą światu? Świat moralny i czysto fizyczny splecione z sobą stanowią całość tak subtelną że linii oddzielającej jeden od drugiego, dotąd nie dostrzegło żadne oko ludzkie. Czyż dlatego nie ma się znajdować?

Pani Klotyldzie Ł. w Kijowie. Wszystko stosownie do życzenia załatwione zostało.

Pani K. G. w Landorynach. Fortepiany na różne są ceny ale używanych czasami można kupić bardzo tanio stosownie do przeznaczonego na to funduszu. Wynalezienie jednak wymaga wiele czasu i pilnego czytania ogłoszeń.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 29 Дек. (10 Янв.) 1877|8 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



N. 1. Ubranie balowe ze stanikiem z bawetem. Patrz rycina 42.



N. 2. Chusteczka z czarnej koronki do sukni wyciętej kwadratowo.

Opis do N. 2.

(Dalszy ciąg).

N. 5. Koroneczka wywodzona na tiulu.

N. 6—8 i 38. Ubranie dla chłopca lat 9—11. Krój na arkuszu N. XV, Fig. 59—68.

Wykończając takie ubranie, dopasować podług kroju Fig. 59—68, najlepiej wziąść sobie za wzór ubranie odrobione przez krawca. Po podszycia majtek u góry na 14 cent. i na kieszenie użyty jest biały szyrtyng, pod klapkę z dziurkami czarny; pasek w który wszywa się brzeg górny jest z przodu 4, z tyłu 3 cent. szeroki; rozporek tylny liczy 5 1/2 cent. długości; patki do zapinania na sprzączki są po 13 cent. długie. Fig. 60—61 podaje krój kamizelki zapinanej na guziczki; plecy ma z czarnego szyrtyngu, pod przody poddany biały perkal; przy przecięciach na kieszonki podszyty prosty pasek materyału 1 cent. szeroki. Kurtka ma tylko rękawy na podszewce z perkalu; przednie brzegi podszyte są materyałem u dołu 4 w górze na 8 c. szerokości. Małe patki na rękawach i przy szwach bocznych kurtki, przyszywają się podług odpowiednich znaków, oznaczonych na formie. Ubranie przedstawione na ryc. 38 jest z ciemno-popielatego sukna przybrane czarnym jedwabnym repsem.

N. 9—11. Negliż formą princesse. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—8-a.

Przedstawione na rycinach 9—11 trzy negliże różnią się zupełnie między sobą rodzajem przybrania, ale krajane są podług jednej formy princesse. Za materyał może służyć kaszmir, flanela lub t. p. Fig. 1—4 wskazuje miary szerokości i długości podług których dopełnia się części kroju podane w naturalnej wielkości lecz nie całkowite. Przody mogą być bez zaszewek lecz w takim razie zapinają się paskiem dodanym od boków, jak na ryc. 9. Na rycinie 11 widzimy negliż z fałdowanemi plecami, które bardzo przyozdabiają suknie; ułożone są na podszewce przykrojonej podług Fig. 4, przybranie odpowiednie temu jakie jest przy całym negliżu, składa się z plis, koronki, galonu, naśladowania piór lub t. p. U dołu pleców przyszyta jest część oddzielna stanowiąca tren,

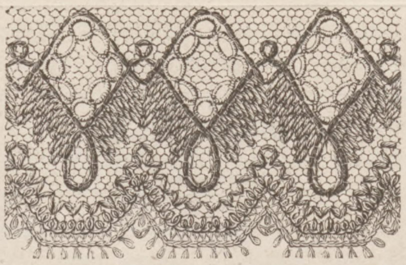


N. 3. Kaftanik robotą w ramach. Patrz ryc. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 26—28.



N. 4. Suknia princesse zdobna plisą i koronką.

przyszycie przykryte jest przybraniem. Negliż rycina 9 przedstawia odpowiednio do fałdowanych pleców i środek przodów złożony w płaskie fałdy. Formę wykładanego kołnierza podaje Fig. 7; kokardy przyszywają się podług rycin.



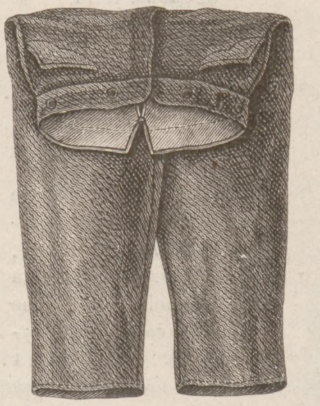
N. 5. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 9. Negliż formą princesse zdobny naśladowaniem piór. Patrz ryc. 10 i 11. Krój na arkuszu N. 1, Fig. 1—8-a.



N. 6. Kurtka do ubrania dla chłopca ryc. 38. Krój na arkuszu N. XV, Fig. 62—68.



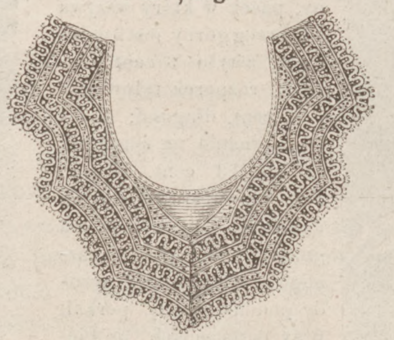
N. 7. Majtki do garnituru ryc. 38. Krój na arkuszu N. XV, Fig. 59.



N. 8. Kamizelka do garnituru ryc. 38. Krój na arkuszu N. XV Fig. 60—61.



N. 10. Negliż formą princesse przybrany galonem. Patrz ryc. 9 i 11. Krój na arkuszu N. I Fig. 1—8-a.

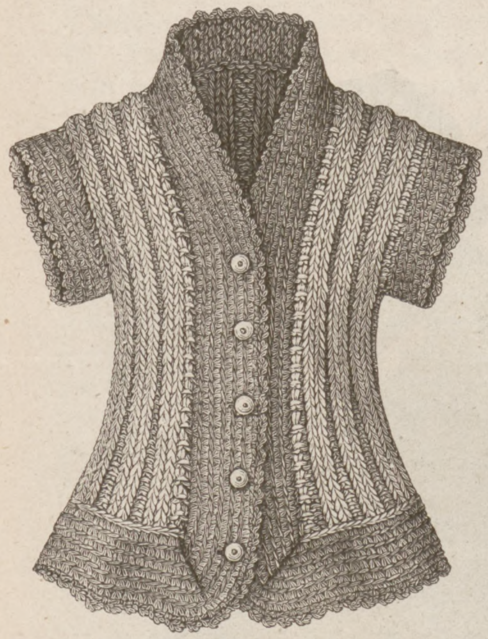


N. 15. Kołnierz szeroki dla dzieci. Patrz ryc. 16—17. Krój na arkuszu N. VIII Fig. 51.



N. 11. Negliż formą princesse zdobny plisą i koronką. Patrz ryc. 9 i 10.

N. 12. Sukienka ze stanikiem robionym na drutach Patrz rycina 12 w N. 1.

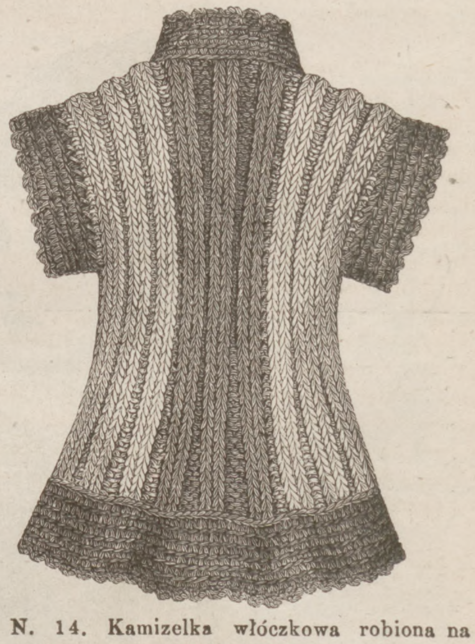


N. 13. Kamizelka włóczkowa robotą na drutach i szydełkową. Patrz ryc. 14.

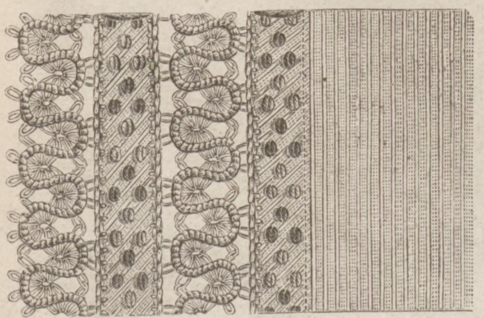
N. 12. Opis w N-rze 1.

N. 13—14. Kaftanik włóczkowy. Robota na drutach i szydełkowa.

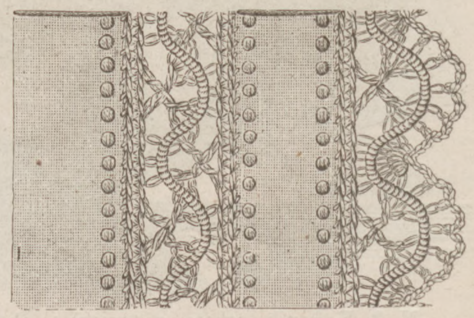
Robota tego kaftanika jest niezmiernie łatwa i pośpieszna i ponieważ tło na drutach daje się ciągnąć w szerz lub wzdłuż więc kaftanik sam układa się podług figury. Model przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 13 i 14 był z włóczki popielatej w dwóch cieniach i składał się z trzech prostych pasów, oddzielnie wykończonych na drutach i następnie zszytych z sobą (dwa jasne a środek pleców ciemny). Szlak brzeżny i kruciutkie rękawki odrobione są szydełkiem. Pasy robotą na drutach liczą po 21 o. szerokości i robią się tam i na powrót (zdejmując zawsze 1 o. na początku druta) w prążki z 2 o. gł. a 3 kr. naprzemian, na długość potrzeba 174 rzędów. Pasy te stanowią dwa przody a dalej na plecach zszyte są z ciemnym pa-



N. 14. Kamizelka włóczkowa robiona na drutach i szydełkiem. Patrz ryc. 13.



N. 16. Szlak do kołnierza ryc. 15.



N. 17. Szlak do kołnierza ryc. 15.

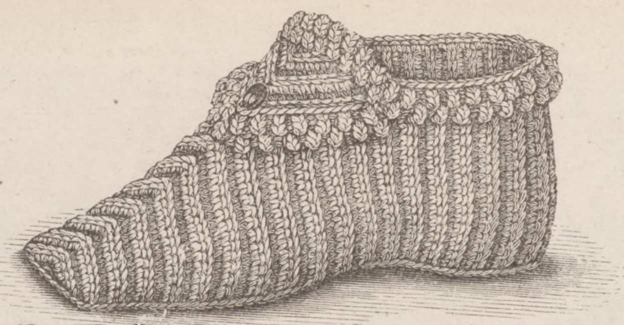
sem liczącym tylko 80 rzędów a z brzegów mającym po 3 o. gł. Zszywając pasy z boków zostawia się pachy, w które wszyte są następnie rękawki tunetańską robotą liczące po 7 obrobień i zakończone pikotami. Szlak brzeżny liczy 10 obrobień.

N. 15—17. Kołnierz szeroki dla dziecka. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 31.

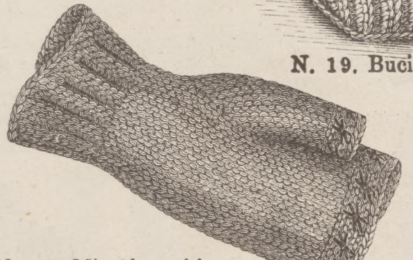
Na ryc. 16 przedstawione jest tło kołnierzyka, złożone z wszyweczki z mignardisse i pasków piki wyszytej w kropki ponsowe i szafirowe. Formę podaliśmy na Fig. 31; inny wzór szlaku załącza ryc. 17.

N. 17. Mitenka robiona na drutach.

Mitenkę zaczyna się z włóczki angielskiej na o. 54, i robi wzdłuż tam i na powrót zawsze pierwsze o. zdejmując nie przerobione, resztę gładko oprócz 15 o. stanowiących szlaczek mitenki z których 1-sze zawsze się zdejmuje, 2-gie zawsze na prawą stronę gładko, 3-cie kręto a 12 następnych ciągle na przemian 4 rzędy gładkie 4 kręte. W 24 obrobieniu, po zrobieniu 4 o. od góry bierze się włóczkę czarną w miejsce wyszycia przerabia tam i na powrót o. 27, (resztę tym co mitenka kolorem); to przerobienie powtarza się jeszcze 2 razy w odstępie 5-ciu rzędów. Potem obrobić 22 razy jak od początku, w 23 po zrobieniu szlaczku i 25 następnych o., zaczyna się wielki palec, 9 nowo dodanemi o., 14 zaś pozostałych w górze na drucie nie przerabia się. Dla uformowania klinika z 25 o. pomiędzy szlaczkiem i palcem gubi się w 20 następnych rzędach co 2 obrobienia 1 o. na początku, robiąc do lewej ręki, a w rzędach powrotnych 1 o. na końcu. W dalszych 18 rzędach 1 o. w każdem obrobieniu, tak że po tych 38 obrobieniach, pozostaje tylko 6 o., które się później zakończa. Teraz przerabia się 14 o. pozostałych na drucie, odwraca robotę, nabiera 19 o. klina i razem z oczami szlaku, wszystkie 54 o. i przerabia się 37 razy; potem nabiera się górne o. mitenki na drut i obrabia 8 razy gładko tam i na powrót, tak samo i górne o. wielkiego palca. Nakoniec spaja się mitenkę i palec z lewej strony, i daje na szlaczkach górnych wyszycie włóczką czarną, w sposób wskazany na ryc. 18.



N. 19. Bucik szydełkowy, do włożenia na wierzch na buciki. Patrz ryc. 20.



N. 18. Mitenka robiona na drutach.



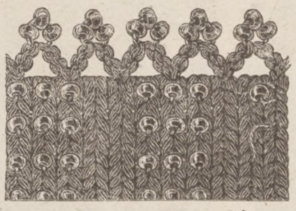
N. 20. Próbka roboty do bucika ryc. 19.



N. 21. Rękawek włóczkowy robiony na drut. Patrz. r. 22.



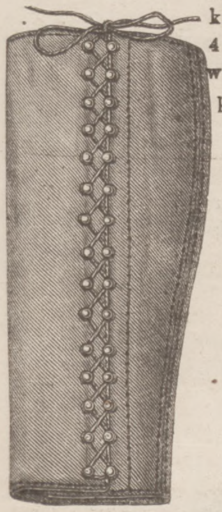
N. 23. Pas do krzesła. Haft na suknie. Patrz ryc. 24 i Fig. 33.



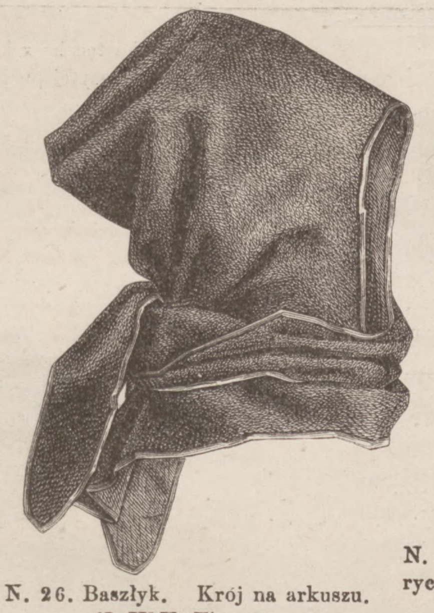
N. 22. Tło robione na drutach i ząbki szydełkowe do ryc. 21.



N. 28. Szal robiony szydełkiem. Patrz ryc. 29.



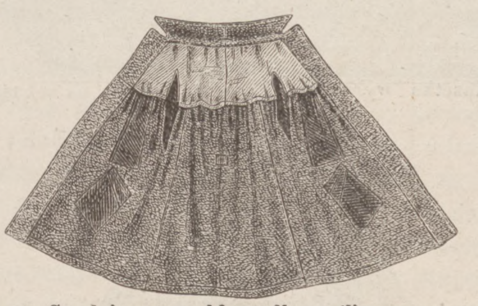
N. 25. Kamasz dla myśliwego.



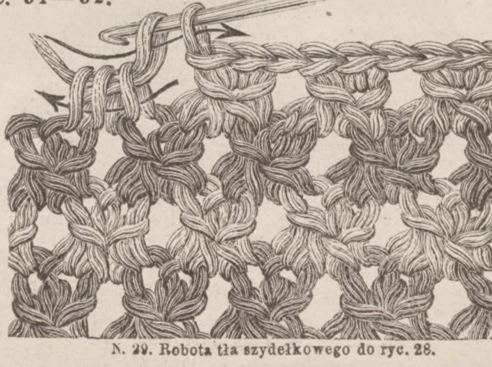
N. 26. Baszłyk. Krój na arkuszu. N. XIV, Fig. 58.



N. 27. Kamizelka z rękawami robionemi na drutach, do ubrania na polowanie. Krój na arkuszu N. XIII Fig. 52—57.



N. 30. Spodnia strona bluzy dla myśliwego. ryc. 31—32.



N. 29. Robota tła szydełkowego do ryc. 28.

N. 19—20. Bucik włóczkowy robiony szydełkiem.

Służy do włożenia na buciki i jest szczególniej praktyczny do wsunięcia na strojne buciki przy wieczorowem ubraniu, których obawiamy się zbrudzić kaloszem. Za materyał wzięta włóczka kastorowa gruba i ciepła; prążki w ściegu plisowanym są robione w jedną stronę ciemną włóczką w drugą jasną co w całości roboty bardzo ładnie wygląda. Robotę zaczyna się od palcy na o. 15, obrabia 22 razy zawsze odwracając robotę i biorąc od spodu w oczka rzędu poprzedzającego, a w oczko środkowe dając 3 o., w 23 obrobieniu opuszcza się początkowe o i końcowe dalej 4 razy co drugie obrobienie opuszcza się początkowe i końcowe oczy, tak iż ostatnie obrobienie liczy o. 67. Potem z każdej strony od dołu cholewki obr. się przez 22 o po 22 razy równo bez gubienia lub przybierania na część tylną, spojoną z lewej strony we środku; a rożek górny z przodu wywija się nawierzch w sposób na ryc. wskazany. Na modelu bucik był z włóczki popielatej w 2 cieniach, a podeszwa z włóczki bronzowej, zaczyna się na o. 11 od palcy, w 6, 7, 12 i 13 obrobieniu przybiera się po 1 o. na końcu a 17 1-no w środku; obrabia się 7 razy równo, w 4-rech następnych gubi się po 1 o. na końcu, w 5-tem 1-no w środku. Tym sposobem powraca się do o. 11, które przerabia się równo razy 5; w 4-ech



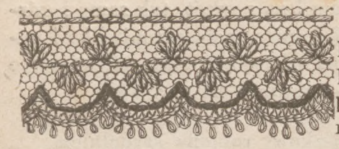
N. 31. Bluza dla myśliwego. Patrz ryc. 30—32. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 48—51.



N. 24. Część szlaku brzeżnego do ryciny 23.



N. 32. Bluza dla myśliwego. Patrz ryc. 30—31.



N. 33. Ząbki wywodzone na tiulu.

następnych przybiera się po 1 o. na początku, 5 razy obrabia się równo, dalej wygubia stopniowo do o. 7. Na koniec łączy się podeszwę z bucikiem, z prawej strony o. ścisłemi. Szlaczek do oszycie bucika robi się oddzielnie, podług próbki ryc. 20 i przyszywa do bucika. Podany przez nas obrachunek ulegnie małej zmianie stosownie do wielkości nogi, lecz takową łatwo będzie można uskutecznić.



N. 35. Chusteczka z materyi i koronki.

N. 21—22. Pulsetki robione na drutach i wyszyte perełkami. Rycina 22 przedstawia próbkę roboty.

Pulsetki z czarnego jedwabiu albo czarnej angielskiej włóczki, robione są w kółko albo wzdłuż tam i napowrót, do spojenia, tak ażeby otrzymać paski podłużne na przemian o jednem oczku gładkiem 1 krętem. Brzeg górny zdobią ząbki szydełkowe z pikotami ze stalowych perełek.

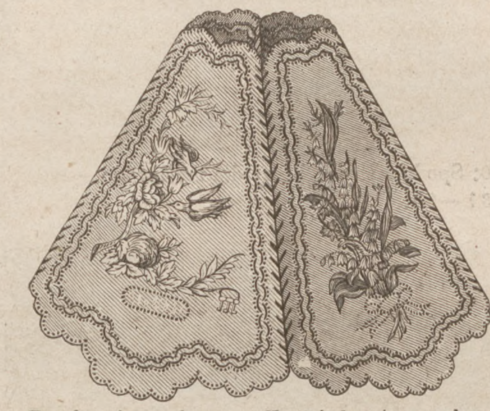


N. 37. Płaszczyk dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 16 w N. 1.

N. 38. Ubranie dla chłopca lat 9—11. Patrz ryc. 6—8



N. 39. Kasetka wyrzynana z drzewa. Deseń na arkuszu Fig. 35-a—36-b.



N. 40. Przykrycie na lampę. Krój i deseń na arkuszu N. XVIII, Fig. 72.



N. 34. Ząbki wywodzone na tiulu.

wyszyta długim ściegiem, podług ryc. 24. Dobór kolorów zależy od własnego gustu. Na modelu włóczki z domieszaniem filozeli, były w 3 cieniach jasno niebieskich ciemno i czerwonawo-brązowych, kilka cieni różowych, parę kolorów drzewnych, szaro popielatych, *tilleul* kukurydzowych i różne odcienie zielone mchowe trawne i niebieskawe. Frendzlę kręci się ze wszystkich kolorów do haftu użytych.

(dok. nast.)



N. 36. Chusteczka z koronki i wstążki wyszytej perełkami.



N. 41. Suknia z vetement. Krój w arkuszu N. XVII, Fig. 71.

N. 23—24. Pas haftowany do krzesła. Deseń środkowy na arkuszu z krojami Fig. 33.

Do wszelkich tego rodzaju haftów używa się kolorów matowych, niepewnych, które jednak gdy są umiejętnie dobrane i harmonijnie ułożone, stanowią śliczną całość.

Na tło używane są sukna bajowe czyli kosmate. Na modelu środek miał tło szafirowe, a pasy boczne (których próbkę naturalnej wielkości podaje na ryc. 24.) tło pąsowe. Zeszycie pasów przykrywa biała płócienna, 2 cent. szeroka tasiemka



N. 42. Ubranie balowe. Patrz ryc. 1.

TYGODNIK MOD.

w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 1 i 2.

N. I. Ubranie ranne formą princesse, z plecami w fałdy ułożonemi i oddzielnie wszytym trenem. Ryc. 9—11 w N. 2 Tygodnika.

Miara objętości przez połowę w gorsie 51, w pasie 50 cent.

Fig. 1. Przodek (A, D, E, F, L).
Fig. 2. Boczek (A, B).
Fig. 3. Pierwsza część pleców (B, C, E).
Fig. 4. Druga część pleców (C, D, K, *, 1-no załamanie formy).
Fig. 5. Zmniejszony rysunek połowy trenu i miary długości i szerokości.
Fig. 6. Rękaw (F, G, H, I).
Fig. 7. Połowa kołnierza (K, L).
Fig. 8. Połowa kieszeni.
Fig. 1-a—4-a i 6-a—8-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy wraz z dodaną połową trenu.

N. II. Wycięty stanik z bawetem i spódnica ułożona w fałdy, do ubrania *Midicis* ryc. 6—7 w N. 1.

Miara górnej połowy stanu 50, w pasie 33 centymetry.

Fig. 9. Przodek (M, N, Q, R, S).
Fig. 10. Boczek (M, N, O, P).
Fig. 11. Plecy (O, P, Q, R).
Fig. 12. Rękaw (S, T, U, V, *).
Fig. 13. Mankiet (T, V, *).
Fig. 14. Zmniejszony rysunek spódnicy, ze wskazaniem fałd i miary szerokości i długości, *a* kliniasto ścięty bryt przedni *b* połowa średnicy zeszytej z brytów prostych.

N. III. Wycięty stanik do sukienki dla małéj dziewczynki. Ryc. 12 w N. I i 12 w N. 2 Tygodnika Mód.

Fig. 15. Połowa przodu (W, X, Y, Z, :).
Fig. 16. Plecy (W, X, Y, Z).
Fig. 17. Połowa rękawa (W, :).

N. *IV. Płaszczyk* z pelerynką dla dziewczynki lat. 2—4. Ryc. 16 w N. 1 i ryc. 37 w N. 2 Tygodnika.

Fig. 18. Przodek (a, b, e, f, g, l, m, n, p).
Fig. 19. Boczek (a, b, c, d).
Fig. 20. Połowa pleców (c, d, e, f, o).
Fig. 21. Rękaw (g, h, i, k).
Fig. 22. Połowa peleryny (l, m, n, o).
Fig. 23. Połowa paska do wykroju szyi (o, p).

N. V. Kapotka dla małej dziewczynki. Ryc. 11 w N. 1 Tygodnika.

Fig. 24. Połowa główki (q, r, . 1 , X , 1 do . 7 X 7).
Fig. 25. Połowa karczka (q, r).

N. VI. Kaftanik bez rękawów. Ryc. 3 w N. 2.

Fig. 26. Przodek (s, t, w, x).
Fig. 27. Boczek (s, t, u, v).
Fig. 28. Plecy (u, v, w, x).

N. VII. Wielki kołnierz i mankietki zwierzchnie do szerokich rękawów. Ryc. 18—19 w N. 1 Tygodnika.

Fig. 29. Połowa kołnierza (*).
Fig. 30. Połowa mankieta (+).

N. VIII. Duży kołnierz dla małych dziewczynek, zeszyty ze wstawek haftowanych i szydełkowych. Ryc. 15 w N. 2.

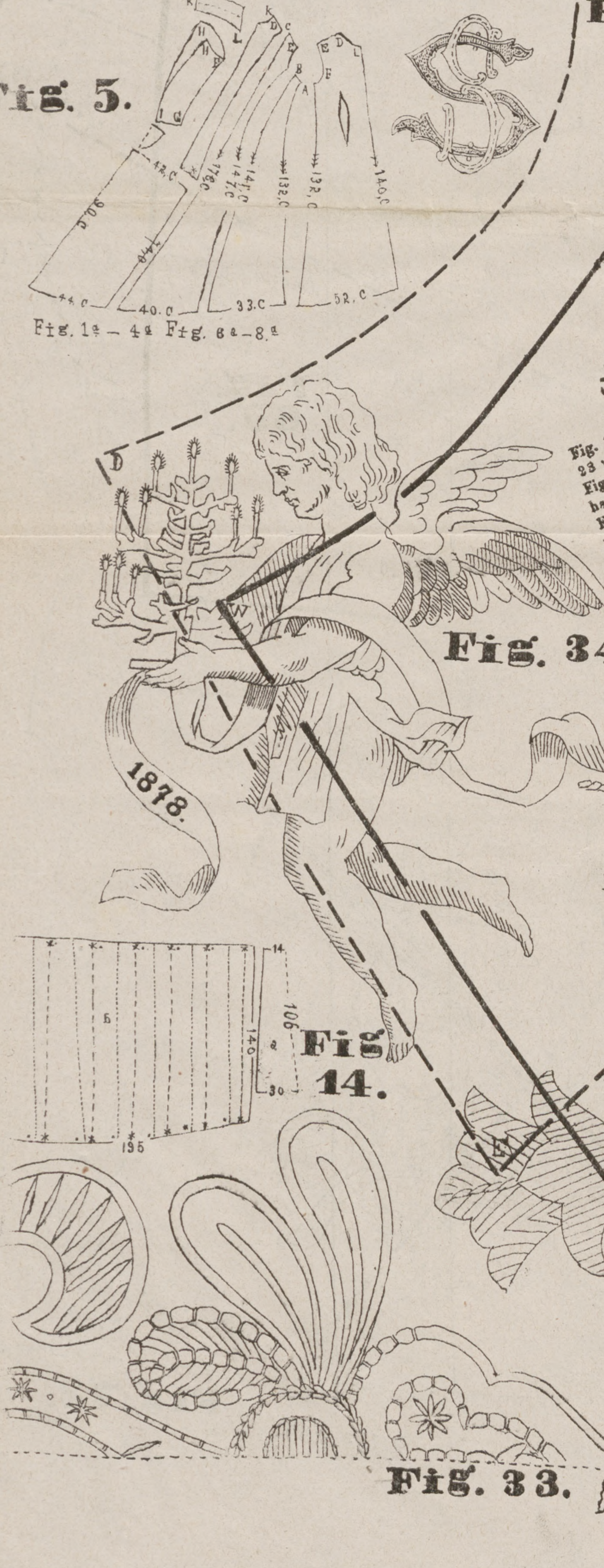
Fig. 31. Połowa kołnierza.

N. IX. Kołnierz marynarski dziecinny. Rycinę podamy w N. 3 lub 4.

Fig. 32. Połowa kołnierza.

Desenie do haftu.

Fig. 33. Deseń do haftu kolorowego, na pas do krzesła. Zobaczyć ryc. 23 w N. 2.
Fig. 34. Deseń środkowy do serwetki ryc. 14—15 w N. 1. Łatwy haft jedwabiem czarnym.
Fig. 35-a—35-b. Desenie na szkatułkę ze stereoskopiami, ryc. 39 w N. 2.
Fig. 36-a—35-b. Gałązka fijołków i gałązka róży, do ryc. 31 w N. 41 z r. 1877.





N. X. ***Suknia*** princesse z wszytym trenem, zapinana z boku. Ryc. 1—2 w N. 1 Tygodnika Mód.

Miara połowy górnej objętości 47, w pasie 30 cent.

Fig. 38. Środkowa część przodu (A, H, L). ═ × ═ × ═

Fig. 39. Druga część przodu wraz z boczkiem (A, B, C, D, E, I, *, *, . 1).

Fig. 40. Pierwsza i druga część pleców (D, E, F, G, H, I, K, *, × 1 do . 3 × 3).

Fig. 41. Połowa kołnierza z ranwersem (K, L). — × — × —

Fig. 42. Mankiet z ranwersem (M, N).

Fig. 43 Zmniejszony rysunek trenu.

Fig. 38-a—42. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy.

N. XI. ***Czapka*** dla myśliwych, osłaniająca zarazem szyję. Rycina 10 w N. 1 Tygodnika Mód.

Fig. 44. Połowa łna (O, P).

Fig. 45. Połowa lampasa (O, P, Q, *).

Fig. 46. Połowa daszka (Q, *). * * * * *

Fig. 47. Połowa osłony szyi (*). * — * — * —

N. XII. ***Bluza*** myśliwska z karczkiem. Ryc. 30—32 w N. 2.

Fig. 48. Połowa karczka (R, S, T, U, W, X, Y). — o — o —

Fig. 49. Kołnierz (X, Y).

Fig. 50. Zmniejszony rysunek połowy bluzy, z oznaczeniem przecięcia na rękaw i kieszeń (R, S, T, U, V, +, .).

Fig. 51. Zmniejszony rysunek połowy rękawa z klinikiem (V, W, *).

Fig. 48-a—49-a. Zmniejszony rysunek karczka i kołnierza.

N. XIII. ***Kamizelka*** myśliwska z rękawami, ryc. 27 w N. 2.

Fig. 52. Przód (a, b, c, d, e, l, m, n, o, p).

Fig. 53. Połowa pleców (a, b, c, d, f, k).

Fig. 54. Rękaw (e, f, g, h, i, jedno załamanie formy).

Fig. 55. Połowa kołnierza (k, l).

Fig. 56. Patka do kieszeni na piersiach (m, n).

Fig. 57. Patka do bocznej kieszeni (o, p). + + + + + +

N. XIV. ***Baszłyk*** dla myśliwego. Ryc. 26 w N. 2.

Fig. 58. Zmniejszona forma i miary połowy baszłyka.

N. XV. ***Ubranie*** dla chłopca lat 9—10. Ryc. 6—8 i 39 w N. 2.

Fig. 59. Połowa majtek (1, 2 3, 4, 5, 6).

Fig. 60. Przód kamizelki (7, 8, 9, 10). × • × • × • × •

Fig. 61. Połowa pleców do kamizelki (7, 8, 9, 10).

Fig. 62. Przód do żakiety (11, 12, 13, 14, 20, 21, :).

Fig. 63. Plecy do żakiety (11, 12, 13, 14, +, . . , *).

Fig. 64. Patka boczna (12, *).

Fig. 65. Rękaw (11, 15, 16, 17, 18).

Fig. 66. Patka do rękawa (17, 18) o o o o o o

Fig. 67. Tylna część kołnierza (13, 19, :).

Fig. 68. Klapka do kieszeni (20, 21). + + + + +

N. XVI. ***Szeroki*** kołnierz i mankiet na rękaw. Ryc. 20—21 w N. 1.

Fig. 69. Połowa kołnierza.

Fig. 70. Połowa mankieta.

N. XVII. ***Vêtement*** z częścią fartuchową, do ryc. 41 w N. 2.

Fig. 71. Zmniejszona forma i miary połowy vêtement, które dopasować można podług formy N. X.

N. XVIII. ***Zasłonka*** do lampy. Ryc. 40 w N. 2.

Fig. 72. Połowa kwaterki i deseń.

N. XIX. ***Kwiaty,*** liście i motyle do bukietu z piór. Ryc. 24—33 w N. 1.

Fig. 73. Liść do kwiatu ryc. 25 w N. 1.

Fig. 74-a część pierwsza, *b* część druga *c* trzecia do liścia winnego.

Fig. 75-a—75-b. Pierwsze i drugie skrzydełko do motyla chińskiego ryc. 32—33.

Fig. 76-a—76-b. Dwie części skrzydełka do motyla „Apolo."

Fig. 77-a—77-b. Dwie części skrzydełka do motyla ryc. 31.



